Stron 8 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem Cena 25 zł.

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

Rok VII Warszawa, dn. 9. VII. 1950 r. Nr 27 (258)

W NUMERZE

J. AMADO — Literatura Brazylijska B. UHSE — Po której stronie?
Z. CHYLIŃSKI—Lenin o chałupnictwie M. KOKOSZKIEWICZ—Przemysł ludowy
A. KIJOWSKI—Pozory realizmu J. LESKIEWICZOWA—Inteligencja warszawska
J. OZGA-MICHALSKI — Pierwsza Rada E. NIZIURSKI — O powieści Ozgi
R. HŁADKO—Powieść o czeskim teatrze ST. MĘDELSKI—Spotkanie z faszyzmem
J.MACIEJEWSKI—U tkaczki sokólskiej M.GRIBACZOW, J.GRYGOLUNAS—Wiersze

Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego
CIV 9037

HIERONIM MICHALSKI

V ZJAZD PISARZY (I)

W dniach 24 — 27 czerwca obradował w Warszawie V Zjazd delegatów Związku Literatów Polskich. O ile każdy z dotychczasowych zjazdów stanowił w środowisku literackim wydarzenie wielkiej wagi, gdyż dokonywano na nich oceny sytuacji literatury i dyskutowano nad perspektywami rozwoju,—

Włodzimerz Sokorski

o tyle obecny musiał mieć znaczenie tym większe, że zwołany został po okresie, który u nas znamionowała zasadnicza i głęboka krystalizacja ideologiczna, odbywająca się pod wpływem zjednoczenia ruchu robotniczego i Plenach KC PPR, rozgramiających odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne i wskazujących konsekwentną drogę do socjalizmu, a następnie Plenach KC PZPR, zwracających uwagę na zaostrzenie się walki klasowej, na konieczność czujności, na niebezpieczeństwa kosmopolityzmu, jako narzędzia imperialistycznej dywersji, wreszcie na sprawę wychowania kadr w związku z potrzebami Planu 6-letniego. Proces tej krystalizacji ideologicznej obejmował również i kształtował nasze środowiska literackie. To też oczekiwano z zainteresowaniem, jak na V Zjeździe Delegatów ujawnią się wyniki tego procesu krystalizacji.

Witając Zjazd, mówił Premier J. Cyrankiewicz:

„Tylko przy jasnej i bezspornej, nie deklaratywnej, ale wewnętrznej jedności Zjazdu z walką, która toczy się w Polsce i na całym świecie, osiągnięcie to, że przez wasze wewnętrzne i fachowe obrady przebiegnie ten sam nurt walki ideologicznej, przebiegnie ten sam prąd, który elektryzuje i porywa do wielkich wysiłków milionowe masy ludzkie, który mocniej, niż najgenialniejszy dramaturg dramatyzuje dziś wielką walkę ludzkości z barbarzyństwem imperialistycznym, wielką walkę o przyszłość, wielką walkę nowego ze starym, toczącą się i w skali narodów, i w skali klas, i w każdej duszy ludzkiej, a więc na pewno we wrażliwych duszach twórców".

Czy treść obrad Zjazdu może być oceniona jako odpowiedź na to życzenie? Czy stanowi ona dowód, że nurt przeobrażeń ideologicznych, zaczętych dawno i trwających długo, przeniknął w środowisko literackie istotnie bardzo głęboko? Pierwszy Zjazd, odbywający się w 1945 r. w Krakowie, miał jeszcze charakter raczej inwentaryzacyjny po stratach i ofiarach wojny i okupacji. Następny jednak Zjazd, odbyty w 1946 r. w Łodzi, postawił już wyraźnie problematykę światopoglądu i zaangażowania się literatury po stronie dokonywujących się przemian dziejowych. Zjazd, odbyty w 1947 r. w Wrocławiu, poprzedzony wielką mową Prezydenta Bieruta o roli i zadaniach twórców, dyskutował zagadnienie humanizmu, który literatura znajduje, wyrażając te treści, którymi żyje naród. Wreszcie Zjazd, odbyły w 1949 r. w Szczecinie, postawił już postulat realizmu socjalistycznego, jako metody, która jedyna umożliwi literaturze wypełnienie jej zadań. Ostatni Zjazd warszawski w porównaniu z poprzednimi zjazdami, które były kolejnymi etapami w procesie krystalizacji ideologicznej środowiska literackiego, uważany być może za dowód, że jesteśmy już świadkami dokonanego lub dokonującego się pełnego przełomu.

Widoczne to było przede wszystkim w ogromnym, zastanawiającym rozszerzeniu i pogłębieniu zakresu obrad. O literaturze nie mówiono już, jak poprzednio, wyłącznie na płaszczyźnie ideologicznych, teoretycznych i warsztatowych zagadnień literatury. Ton rozważań zagubił cechy abstrakcyjne, a nabrał, żeby tak powiedzieć, znamion *konkretności i praktyczności*. Literatura rozpatrywana bowiem była w jej funkcji, którą posiada w rzeczywistości, w jej *stosunku do mas pracujących, będących gospodarzami historii*, w jej roli współtowarzyszenia w walce o budowę socjalizmu i walce o pokój. Po raz pierwszy w naszych obradach literackich uwidoczniła się tak wyraźnie prawda, że literatura nie jest tylko sprawą pięknej sztuki pisania, ale że jest to sprawa odpowiedzialności przed czytelnikiem, a zatem odpowiedzialności przed nową rzeczywistością.

W obradach zabierali głos przedstawiciele ZMP, ZHP i CKZZ. Oni właśnie przekazali zjazdowi wiadomości o tym, jakich książek od pisarzy oczekują czytelnicy i jakie braki odczuwają (szczególnie mocno postawiona została sprawa braków literatury dla dzieci i młodzieży). Ich wypowiedzi były niewątpliwie charakterystycznym momentem obrad. Literatura i czytelnik — to był właśnie przykład rozszerzania się zakresu rozważań zjazdu. Wielu pisarzy w swoich wypowiedziach podkreśliło, jak wielkie znaczenie dla skrystalizowania się ich świadomości ideologiczno-artystycznej miało zetknięcie z nowym czytelnikiem, jak odczucie potrzeb tego czytelnika wpływało na przyśpieszenie procesu zachodzących przeobrażeń, w rozumieniu celu i zadań literatury.

Zjazd ujawnił, że bezwzględna większość pisarzy zdaje już sobie sprawę z tego, jakie są fałszywe, a jakie prawdziwe drogi rozwoju literatury. Szczególnie jasno wystąpiło to na tle stosunku do literatur krajów kapitalistycznych. Pisarze odrzucają bezwzględnie literaturę, która pod pozorami indywidualistycznej obrony rzekomej niezależności, jest narzędziem interesów imperializmu i obraca się przeciw ludzkości. Równocześnie pisarze nawiązują do tej prawdziwej literatury, która w krajach kapitalistycznych walczy o wolność człowieka, o jego prawo do sprawiedliwej przyszłości, o pokój. Stosunek ten zamanifestował się w powitaniach francuskich, amerykańskich i brazylijskich, reprezentantów tej literatury walczącej, oraz w protestach przeciw uwięzieniu Nazim Hikmeta i Howarda Fasta.

Stwierdzając powszechny i głęboki przełom ideologiczny, który dokonał się w środowisku literackim i który związał je z budową socjalizmu i walką o pokój, zjazd jednak podkreślił fakt, że mimo wszystko trzeba dokonać rozróżnienia między pisarzami, którzy swoją twórczością *pomagają budować socjalizm*, a tymi, *którzy przeszkadzają* w jego budowie. Ponieważ budowa socjalizmu oparta jejst o podstawę marksizmu-leninizmu, przeto sprawa światopoglądu jest sprawą rozstrzygającą. Perspektywy rozwoju pisarza i spełnienie przez jego twórczość roli, której wypełnienia oczekuje się od literatury, wiążą się nierozerwalnie *z pogłębieniem postawy ideologicznej*.

Innym nowym momentem w obradach było podkreślenie jedynego w swoim rodzaju znaczenia i *wzoru literatury radzieckiej*. Zjazd przyznał, że literatura radziecka, której znaczenie przez długi czas nie było u nas ukazywane we właściwy sposób wskutek obciążeń odchylenia prawicowo - nacjonalistycznego nie

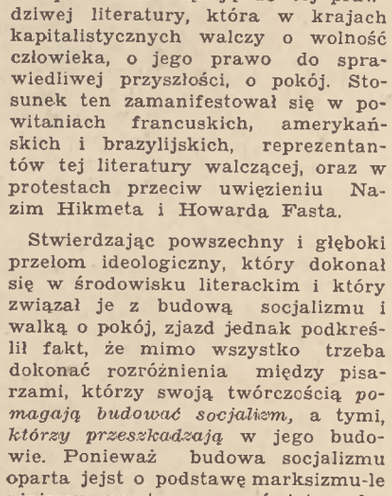

Stefan Żółkiewski

mogła dawać naszym pisarzom tej owocnej pomocy, jaką w swoich łamaniach się i poszukiwaniach znajdują w niej teraz. Gorące przyjęcie, jakie zjazd zgotował delegatom radzieckim, oraz uważne i entuzjastyczne wysłuchanie uwag gości, którzy zabrali głos w dyskusji, dzieląc się z polskimi pisarzami doświadczeniem zdobytym przez literaturę radziecką przez 33 lata jej istnienia, stanowi dowód, że pisarze nasi przyswoili już sobie proletariacki *patriotyzm i internacjonalizm*, jedną z zasadniczych cech ruchu postępowego, a więc i postępowej literatury.

Do zagadnień, które na zjeździe było wyjątkowo gorąco dyskutowane, należało zagadnienie, czy sytuacja współczesnej literatury polskiej ujawnia oznaki *kryzysu* czy *przełomu*. Niektórzy bowiem z dyskutantów, biorąc za punkt wyjścia fakt, że przez 6 miesięcy obecnego roku ukazało się zaledwie 25 pozycji prozy, przy czym w większości wypadków pozycji autorów początkujących, chcieli z tego wyprowadzić wniosek, że literatura przeżywa obecnie okres zastoju i że proces

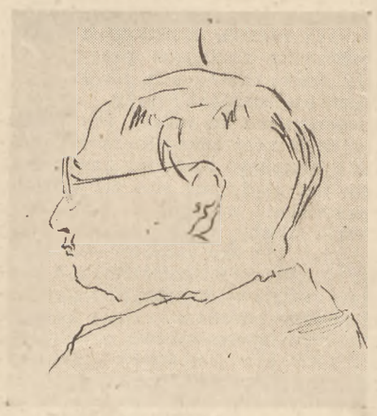

Adam Ważyk

twórczy został zahamowany. Dyskusja obnażyła nie tylko fałszywość tego wniosku, ale i jego źródła, a mianowicie nieumiejętność dostrzeżenia tego, co jest istotnie nowe, co istotnie zapowiada otwarcie nowych perspektyw rozwoju literatury. Min. Sokorski, zabierając głos, przestrzegł, jak niebezpieczne dla rozwoju lite-

Jerzy Putrament

ratury jest niedostrzeganie tego, co rośnie w niej nowe. A na dowód tego, że rośnie, wskazał nowatorską rolę wielu pozycyj prozatorskich świetne, budzące chlubę osiągnięcia poezji, fakt, że w wyniku konkursu na sztukę, repertuar teatralny będzie mógł być zasilony ok. 40 sztukami, podejmującymi śmiało nową tematykę. Ponadto nie trzeba zapominać, że obecnie w ramach akcji wyjazdów do ośrodków robotniczych i chłopskich, organizowanej przez ZLP wespół z Ministerstwem Kultury i Sztuki, bierze udział 82 pisarzy, z których 10 już pisze, a 25 zamierza pisać powieści, 8 opowiadania, 5 reportaże, 2 dramaty. Jest to m. in. wyraźny dowód, że nie może być mowy o kryzysie, lecz właśnie o dokonywującym się w naszej literaturze zasadniczym przełomie. Zadaniem krytyki jest właśnie stwarzać właściwą atmosferę dla tych nowych zjawisk.

Min. Sokorski zwrócił również uwagę na inny charakterystyczny moment, a mianowicie na to, że dyskusja nie ujawniła w dostatecznym stopniu procesów zachodzących w środowiskach literackich, procesów łamania się pisarzy z trudnościami przy podejmowaniu nowych zadań literatury, która ma służyć masom pracującym, budującym w Polsce socjalizm. Istotnie, dyskusja początkowo wykazywała pewne zahamowanie. Wynikało to stąd, jak tłumaczył J. Andrzejewski, że pisarz nie może swobodnie przemawiać, kiedy nie ma za sobą swojego czynu, tj. książki. Dalsza jednak dyskusja przyniosła interesujące wypowiedzi pisarzy na temat *właśnie ich drogi do książki*, trudności, na jakie napotykają, walcząc z obciążeniami warsztatu oraz z błędami wynikającymi z niedostatecznej dojrzałości ideologicznej.

Zarówno referat A. Ważyka „o perspektywach rozwojowych literatury współczesnej", jak i S. Żółkiewskiego „o stanie badań literackich", jak i głosy dyskusji, szczególnie b. cenna wypowiedź M. Kierczyńskiej o różnicy między realizmem krytycznym i realizmem socjalistycznym, podkreślały rozstrzygające dla rozwoju pisarza znaczenie opanowania ideologii marksizmu-leninizmu, decydujące o możliwościach sprostania zadaniu pisarza, czy to w dziedzinie prozy, poezji, czy krytyki. Ideologiczna dojrzałość pisarza pozwala mu zarówno na znalezienie prawdziwego stosunku do rzeczywistości, jak i do tradycji literackiej. Podkreślano również mocno, że niedomogi w rozwoju literatury spowodowane zostały w poważnym stopniu niedomogami i brakami odpowiednio przygotowanej krytyki, która nie potrafiła torować literaturze drogi.

Świadomość, że literatura nasza znajduje się w okresie przełomu, odbiła się w dyskusji zagajonej referatem L. Kruczkowskiego „O roli i zadaniach ZLP" postulatami *nowych form organizacyjnych* Związku Literatów Polskich, odpowiedniejszymi do nowych zadań, jakie literatura podejmuje i będzie podejmowała. Dotychczasowa struktura organizacyjna związku nie sprzyjała temu. A przecież — jak słusznie zauważył w dyskusji ukraiński pisarz Dmiterko— między *ideologią a organizacją* jest taka sama współzależność jak między treścią i formą. Wśród szeregu wniosków, jakie zgłoszono, przeważały głosy, aby i w tej dziedzinie skorzystać z bogatych doświadczeń organizacyjnych pisarzy Związku Radzieckiego, oczywiście zachowując specyficzność naszej sytuacji. Naczelny postulat zmierzał do ustalenia sytuacji, w której pisarz wykaże największą aktywność — zarówno w dziedzinie twórczości, jak i w życiu społecznym.

Wielką troską zjazdu była również sprawa wychowania *kadr pisarskich*. Dyskutowano ją żywo, wszechstronnie i z pełnym poczuciem odpowiedzialności za rozwój literatury polskiej. Rozpatrywano wszystkie sposoby i możliwości wyszukiwania nowych talentów i opieki nad nimi, sposoby roztoczenia opieki nad pisarzami początkującymi, odrabiania braków w przygotowaniu młodych pisarzy, wynikłych z warunków wojny i okupacji, jak również i opieki i stworzenia warunków pracy pisarzom dojrzałym. Rozwiązanie zagadnienia kadr, naczelnego zagadnienia okresu planu 6-letniego, nastąpi również w ramach odpowiednio przystosowanej organizacji związku.

Jeszcze raz powtarzam, że problematyka V Zjazdu Delegatów ZLP była wyjątkowo rozległa, tak, że trudno ją wyczerpać w artykule sprawozdawczym. Ponieważ prasa

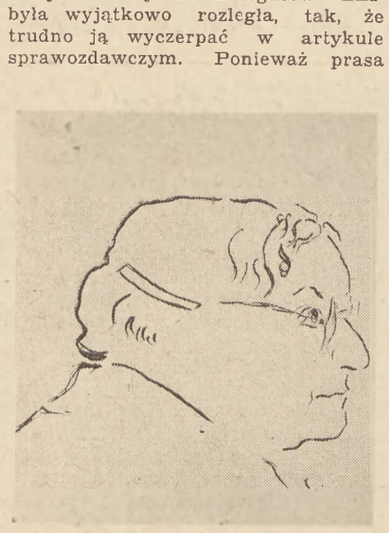

Melania Kierczyńska

podała obszerne wiadomości o przebiegu zjazdu ze strzeszczeniami referatów i ważniejszych głosów dyskusji, ograniczyłem się tutaj tylko do zanotowania najistotniejszych momentów, które charakteryzują zjazd. Problematyka zjazdowa będzie musiała być poddana dalszym szczegółowym omówieniom. O ile bowiem zjazd przypadł na przełomowy okres naszej literatury i to niewątpliwie zadecydowało o szerokości i głębokości poruszonych na nim zagadnień, o tyle sam zjazd skolei przyczynił się i przyczyni na pewno do wykrystalizowania sił, decydujących o przełomie, i stąd jego wyjątkowe znaczenie.

HIERONIM MICHALSKI

rys. St. Gierowski

Aleksy Surkow

* * *

Nie jęczał. Tylko zmarszczył brwi
I chciwie pił. Patrzyło z wody
Dwoje wpadniętych ócz. Deszcz ciepłej krwi
W żelazny kubeł kroplami ciekł z brody.

Nie chcąc ze śmiercią w chowanego grać
Szedł on przez lasów zasępionych cienie.
Tacy w milczeniu zwykli w boju stać
I cuda czynić w milczeniu.

Tł. A. K.

ALEKSY SURKOW

Mądra książka — dobry doradca chłopa

Kapitaliści i obszarnicy wszystkich krajów utrzymywali chłopstwo w ciemnocie i niewiedzy, aby tym łatwiej uciskać go i okradać. Było tak również w dawnej carskiej Rosji. Jestem synem chłopa. Wychowałem się na wsi nad Wołgą. Gubernia nasza była najbardziej oświecona w Rosji. A jednak tylko nielicznym chłopskim synom udawało się ukończyć wiejską szkołę. Ojcowie i matki zabierali dzieci z pierwszej lub drugiej klasy, zanim zdążyli oni nauczyć się nieco czytać i pisać i wyprawiali ich „w świat", na zarobek. Zwłaszcza dziewczęta były upośledzone, w ogóle rzadko posyłano je do szkoły, uważając że chłopce niepotrzebna nauka. Książka była rzadkim gościem w chacie chłopskiej. Chyba, że jakieś broszurki treści religijnej. Chłop nieuzbrojony w kulturę był bezradny i w swojej walce z siłami przyrody i w swoim ciężkim poddańczym życiu.

Wielka socjalistyczna Rewolucja Październikowa, która sprawiła że robotnicy i chłopi stali się gospodarzami swojego państwa, stworzyła także podstawę wielkiej rewolucji kulturalnej. Już w latach wojny domowej, kiedy naród musiał walczyć z wywłaszczonymi obszarnikami i kapitalistami i z żołnierzami 14 państw zagranicznej interwencji, władza radziecka wydała walkę niewiedzy, ciemnocie i analfabetyzmowi wsi. Państwo zaczęło się opiekować szkołami. Zaczęto budować po wsiach domy ludowe i czytelnie. W całym kraju zaczęły działać kursy dla likwidacji analfabetyzmu wśród ludności. Na kursach tych starzy i młodzi, a zwłaszcza kobiety, uczyli się pisać i czytać. W domach ludowych i czytelniach chłopi słuchali wykładów i odczytów na temat polityki i agronomii. Lekarze uczyli jak walczyć z chorobami. Młodzież wiejska zaczęła się garnąć do kultury. Jedni studiowali sztukę sceniczną w kółkach dramatycznych i urządzali przedstawienia dla ludności swojej wsi. Inni śpiewali w kółkach chóralnych albo grali w kółkach muzyki ludowej. Najbardziej wykształceni chłopi i nauczyciele chodzili po wsiach i urządzali wieczory literackie i polityczne. Utworzono tysiące ludowych bibliotek. Jednocześnie z oświatą w życie chłopa weszła książka jako wierny przyjaciel i mądry doradca. Zaczęły wychodzić specjalne gazety i pisma dla chłopów. Wydawnictwa wydawały dla ludzi niewprawnych w czytaniu tanie książki drukowane grubymi, wyraźnymi czcionkami.

Wielki poeta rosyjski, Niekrasow, który bolał nad dolą chłopską pisał niegdyś:

...Czy przyjdzie taki czas?
O przyjdź, przyjdź upragniony!
Gdy chłop nie Bluchera
I nie głupiego milorda
Lecz Bielińskiego i Gogola
Przyniesie z jarmarku?...

Przyszedł ten czas po Wielkim Październiku. Nie tylko wielcy klasycy literatury rosyjskiej, Bieliński Gogol, Puszkin, Tołstoj, Niekrasow Gorki, nie tylko wielcy nauczyciele narodu — Lenin i Stalin, Marks i Engels — lecz także pisarze, uczeni, myśliciele innych narodów świata stali się sławni i kochani w chatach wsi radzieckich. Wiejski chłopiec lub dziewczyna przeczyta zagranicznemu gościowi, który przyjedzie do wsi radzieckiej, nie tylko dźwięczne strofy Puszkina lub płomienne wiersze Majakowskiego, lecz także wiersze Adama Mickiewicza i Słowackiego, Konopnickiej i Syrokomli.

Książka stała się prawdziwą potrzebą dziesiątków milionów ludzi we wsi radzieckiej. Zrozumieli oni pożytek z czytania i pokochali książkę.

Kiedy chłopstwo radzieckie rozpoczęło wielki pochód ku nowemu szczęśliwemu życiu, zaczęło zaorywać miedze oddzielające ludzi od siebie, budować kołchozy, gdzie zamiast sochy i drewnianej brony, zamiast kosy i sierpa pradziadów stanęły do pomocy rolnikowi traktor i siewnik żniwiarka, kosiarka i kombajn, książka wówczas wiele pomogła chłopu. Dzięki literaturze politycznej, agronomicznej i literaturze pięknej, chłopi zaczęli rozumieć że wspólna praca jest łatwiejsza i owocniejsza niż praca indywidualna że nauka agronomii i maszyny uwalniają chłopa z zależności od gleby i sił natury, że żyć i pracować razem jest i weselej i wygodniej.

Dobre książki, w których pisarze opowiadali prawdziwie o dawnym nędznym i trudnym życiu chłopa, uczyły i starych i młodych kochać coraz bardziej nowe życie. Książki, w których pisarze opowiadali o życiu i walce robotników w mieście, uczyły chłopów szanować swoich braci robotników miejskich, usuwały z serc chłopów niechęć i nieufność w stosunku do miasta. Książki, w których radzieccy lub zagraniczni pisarze opowiadali prawdziwie jak trudne i pozbawione opieki prawa jest życie robotników i chłopów w krajach kapitalistycznych, pomagały chłopom zrozumieć lepiej wilczą naturę fabrykantów i obszarników, wzbudzały w nich szlachetne pragnienie przyjścia z pomocą zagranicznym uciskanym braciom w ich walce o wolność. Porównując swoje wolne życie z poddańczym życiem zagranicznych chłopów i robotników, chłopi radzieccy wychowywali w sobie potężne uczucie radzieckiego patriotyzmu, słuszne poczucie dumy ze swego kraju i swojego narodu, który stanął w pierwszym rzędzie budowniczych nowego świata.

W takich książkach jak „Zorany ugór" Michała Szołochowa, „Bruski" Fiodora Panfierowa, poemat „Strana murawja" Aleksandra Twardowskiego i w innych powieściach opowiadaniach i poematach, gdzie opisano walkę o nowe życie w kołchozie, chłopi nie tylko z dumą poznawali w bohaterach tych książek samych siebie, ale także czerpali z nich doświadczenie dla swojego życia i pracy. Tak było do wybuchu wojny. A także po wojnie, kiedy z trudem trzeba było odbudowywać zniszczoną w czasie wojny gospodarkę, kołchoźnicy czytając takie książki jak „Kawaler Złotej Gwiazdy", lub „Światło nad ziemią" Siemiona Babajewskiego, „Gorące źródła" Jelizara Malcewa, poematy Gribaczowa Niedogonowa, powieść „Szczęście" Piotra Pawlenko czerpali z nich wiele dla swojej duszy i dla swojej pracy. Bohaterowie tych książek stawali się dla nich wzorem w pracy, w życiu społecznym. Lektura ta powiększała zapas doświadczenia życiowego, wzbogacała ich mądrość życiową.

W żadnym innym kraju nie było takiej sytuacji jak u nas kiedy to brygada kołchoźników przeczytawszy wspólnie powieść, w której opisane są doświadczenia przodowników pracy, podejmowała zobowiązanie tak pracować na roli jak bohaterowie tej książki. Podobne zjawisko możliwe jest tylko w kraju, w

(Dokończenie na str. 2)

DM 52/52

JORGE AMADO

O WSPÓŁCZESNEJ LITERATURZE BRAZYLIJSKIEJ

Jakie pierwsze wrażenia odniósł pan z obecnego pobytu w Warszawie i ze Zjazdu Delegatów ZLP?

Przyjechałem do Warszawy dopiero przedwczoraj, moje spostrzeżenia nie są więc jeszcze dostatecznie ugruntowane. W każdym razie pierwsze wrażenie jest imponujące. Warszawa, ktora leżała w gruzach jest niemal odbudowana. Kiedy w 1948 roku podczas mojego pierwszego pobytu w Warszawie Marszałkowska w porównaniu z innymi ulicami leżącymi w gruzach wydała mi się tętniącą życiem ze swymi pełnymi sklepami w charakterystycznych parterowych domkach, to dzisiaj ta sama Marszałkowska w porównaniu z Nowym Światem, Muranowem i Mokotowem jakby zmalała i to ona właśnie przypomina dzisiaj najwięcej starą zrujnowaną Warszawę. Jeszcze jedno uderza cudzoziemca. Przechodnie na ulicach są dzisiaj o wiele lepiej ubrani niż w 1948 roku.

Oczywiście najwięcej poruszył mnie sam zjazd pisarzy. Podczas dyskusji na Zjeździe stwierdziłem znaczne pogłębienie stosunku do zagadnień literatury. Dyskusja na temat realizmu socjalistycznego stała się dzisiaj możliwa i owocna, gdyż zbudowaliście jej podstawy. Myślę nie tylko o referatach, ale przede wszystkim o samej rzeczywistości, o waszym budownictwie socjalizmu. Zaznaczający się jeszcze w 1948 roku wpływ literatury burżuazyjnej został obecnie przezwyciężony.

Ukazały się w Polsce przekłady Pana książek: „Kakao", „Pot", „Ziemia krwi i przemocy", „Rycerz Nadziei", „Ziemia złotych płodów". Jak ocenia Pan swą dotychczasową twórczość oraz obecny stan i perspektywy rozwojowe literatury brazylijskiej?

Książki, które ukazały się w wydaniu polskim pochodzą z różnych okresów mojej twórczości. Pokazują więc one moje własne przeobrażenia pisarskie. „Kakao" i „Pot", które ukazały się w 1933 r. miały na tle ówczesnej sytuacji literatury w Brazylii to znaczenie, że zwróciły uwagę na lud brazylijski, że po raz pierwszy pojawiła się w nich nowa tematyka. Co było przedtem? Powieść o „życiu wsi" była u nas dawniej z reguły powieścią o wielkim właścicielu ziemskim. Co więcej, w powieściach takich wielkiego właściciela ziemskiego ukazywano jak dobrego człowieka, kobiety były bardzo piękne, życie zaś robotników na plantacjach szczęśliwe. Było to kłamstwo. Ani bogacz nie był dobry, ani kobiety nie były zawsze piękne, ani robotnicy plantatora nie byli szczęśliwi. Znaczenie moich pierwszych książek dla literatury brazylijskiej polegało na tym, że zrywały one z owym idyllizmem w literackim obrazie wsi brazylijskiej. „Kakao" i „Pot" mają dla nas już tylko wartość historyczną, ponieważ są pełne różnego rodzaju błędów. Byliśmy wtedy bardzo młodzi i stawialiśmy pierwsze kroki w życiu politycznym. Uważaliśmy, za rzecz podstawową stworzyć reportaż o prawdziwym, niezakłamanym życiu Brazylii, sądziliśmy, że należy pokazywać to, co było w jej życiu najbrutalniejsze i najgorsze, to co nas najwięcej bolało. Oprócz pozytywnych stron tych utworów nie uniknęliśmy rzecz jasna i negatywnych. Nie zdołaliśmy dać pełnego obrazu życia chłopów i robotników. Nasz obraz był zniekształcony. Wynikało to stąd, że za mało znaliśmy życie brazylijskie i zbyt mało orientowaliśmy się w stosunkach i zagadnieniach społeczno - politycznych. Później wielu z nas, młodych pisarzy, wzięło aktywny udział w walce politycznej ludu brazylijskiego, co pozwoliło nam na nawiązanie bardzo ścisłego kontaktu z robotnikami i chłopami i pogłębiło nasz pogląd na świat. Z tego okresu datują się takie książki jak moja „Ziemia krwi i przemocy", „Rycerz Nadziei", „Jubiaba" i „Drogi głodu".

Wolę mówić o ich błędach niż o zaletach, ponieważ w ten sposób łatwiej uchwycimy sytuację współczesnej literatury brazylijskiej. Jakież są niebezpieczeństwa, zakres i przyczyny tych niebezpieczeństw, ktorym polega nasze pisarstwo, nie wyłączając mnie? Największe z nich to wpływy naturalistyczne. Biorą się one 1) z klasowo obcego pochodzenia niektórych pisarzy, 2) z wpływu literatury amerykańskiej, a zwłaszcza z Steinbecka, Hemingway'a i Faulkner'a, 3) z prawie zupełnej nieznajomości współczesnej literatury Związku Radzieckiego i Krajów Demokracji Ludowej. Dopływowi tej literatury stoją na przeszkodzie warunki polityczne panujące od lat 20 w naszym kraju.

W czym się te naturalistyczne wpływy objawiają? Literatura nasza w znacznej części ogranicza się do przedstawienia w barwach naturalistycznych ciężkich warunków bytu robotnika i chłopa nie pokazując jednocześnie perspektyw i dróg poprawy tego bytu. Nie przedstawia całości obrazu i problematyki, lecz jej część negatywną. Ukazuje nędzę chłopa i robotnika, ale za mało uwypukla ich walkę o poprawę tego stanu rzeczy. Nie przedstawia ciężkich warunków położenia ludu jako wyniku stosunków politycznych, ale jako wynik samego „życia" czy „losu", lub „wiecznych" właściwości psychiki ludzkiej, jako coś co jest naturalne i na co nie ma rady. W ten sposób literatura ta, zamiast być bronią w walce o zmianę tych warunków, przez swój pesymizm często może działać właśnie na korzyść wroga, demobilizując klasę robotniczą. To jest największe niebezpieczeństwo, które nam zagraża i któremu część naszych pisarzy ulega. Istnieje jednak w naszej literaturze nurt postępowy, który rodzi walka, prowadzona przez proletariat i pracujące chłopstwo Brazylii. Reprezentują go zwłaszcza Erico Verissimo oraz pisarze komunistyczni: Graciliano Ramos, Dalcidio Jurandyr i ja. W pozytywnej części mojego dorobku pisarskiego nigdy nie byłem pesymistą, zawsze widziałem obie strony zjawisk.

Nie znaczy to jednak, by u mnie podobnie jak u innych pisarzy brazylijskich nie znać było tego naturalistycznego wpływu. Jak wiadomo jesteśmy narodem „gorącej krwi" i już z samych warunków klimatycznych pobudliwi. Stąd zbyt łatwo przekształcamy rzeczywistość w naturalistyczny erotyzm.

Ale my żyjemy i rozwijamy się. Mamy prawo sądzić, że nowa literatura brazylijska weszła już na właściwą drogę. Nasi postępowi pisarze coraz ściślej wiążą się z życiem politycznym Brazylii i z walką jej ludu. Fakt, że w roku 1945 nasza partia miała 3.500 członków, a obecnie 210.000 jest najlepszym dowodem dynamiczności naszego ruchu wyzwoleńczego i wzrastającej świadomości mas pracujących Brazylii. To wpływa na pisarzy. Piszę obecnie powieść, która jak przypuszczam z moich dotychczasowych prac będzie najbliższa realizmowi socjalistycznemu. Mamy prawo oczekiwać, że nasza literatura osiągnie po pewnym czasie te wszystkie walory, o które walczymy i odrzuci swoje błędy. Literatury nie da się oddzielić od walki o demokrację i pokój, od walki z imperializmem.

zanotował Edmund Niziurski

BODO UHSE

„PO KTÓREJ STRONIE JESTEŚMY?"

(Rozmowa z Bodo Uhse, Red. Naczelnym mies. literackiego „Aufbau", delegatem Niemieckiej Republiki Demokratycznej na V Walny Zjazd Delegatów Z. L. P.)

— Przeszło pół roku temu podczas obrad „Kulturbundu" w Berlinie padły następujące słowa: po której stronie jesteście mistrzowie kultury? Wypowiedział je Aleksander Abusch, wasz znakomity historyk, krytyk i publicysta na wstępie swego przemówienia. Słowa te zacytował z mowy Gorkiego, zwróconej do intelektualistów całego świata i wygłoszonej 18 lat temu, wobec nadciągającej grozy faszyzmu w Europie. Pisarz niemiecki powtórzył te słowa jeszcze raz po straszliwych doświadczeniach drugiej wojny światowej, podkreślając w ten sposób odpowiedzialność niemieckich pracowników kultury za to, co się stało i odpowiedzialność za rozstrzygnięcia centralnych problemów epoki, w której żyjemy. Te słowa wydały mi się wówczas niesłychanie znamienne dla postawy ideologicznej waszych intelektualistów, chciałabym jednak usłyszeć teraz, jaki wyraz konkretny dajecie waszej postawie, jak realizujecie wasz program odpowiedzialności?

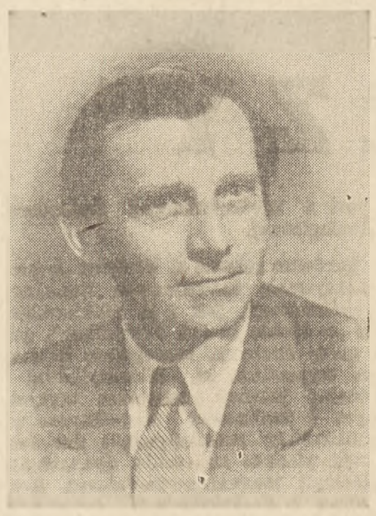

Bodo Uhse

— Dla nas Niemców, czołowym celem wysiłków i dążeń jest sprawa pokoju i jedności naszego kraju. Pokój i zjednoczenie Niemiec jest nieodzownym warunkiem przebudowy ideologicznej narodu, zarówno w dziedzinie politycznej i gospodarczej jak kulturalnej. Rozdarcie społeczeństwa w ogromnym stopniu utrudnia planowy rozwój oddziaływania naszych ośrodków kultury. Tam, na zachodzie krzewi się marazm, beznadziejność, zastój, bezrobocie, nihilizm i barbarzyństwo. Rząd separacyjnej Republiki Bońskiej całkowicie akceptuje ten stan rzeczy. Nie ma tam Ministerstwa, które zajęłoby się sprawą rozwoju kultury. Oczywiście, staramy się ratować, co tylko można. Po raz pierwszy chyba w historii naszego kraju postęp kultury splata się tak nierozerwalnie z kwestią naszego bytu narodowego, naszej niezależności politycznej i rozwoju naszej demokracji — dążymy więc do nawiązywania za wszelką cenę kontaktów z tamtą strony Łaby — nie jest to jednak sprawa łatwa.

— Oczywiście, posterunki graniczne i terror anglosaskich władz okupacyjnych nie sprzyjają imprezom spotkań?

— Tak bywały wypadki, kiedy zachodni działacze kulturalni musieli z powodu szykan w ostatniej chwili odwoływać swój przyjazd. Front Narodowy demokratycznych Niemiec emanuje jednak poprzez kordony graniczne i działalność naszych centrów kulturalnych nie ogranicza się tylko do wschodniej strony Łaby. Zbyt wielka zresztą jest siła przyciągania naszych przemian w każdej dziedzinie życia społecznego, zbyt atrakcyjny obraz naszych sukcesów na polu kultury, aby kordony graniczne mogły stanowić przeszkodę bezwzględną.

Społeczeństwo nasze pragnie pokoju. To hasło jest popularne nie tylko w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Naród Niemiecki w swej masie straszliwie zmęczony jest wojną i latami faszyzmu. Demokracja stanowi dla niego nęcącą perspektywę zabezpieczonego bytu, oparcia, spokoju, przyjaźni i współpracy z innymi narodami. Nasze społeczeństwo przestało już wierzyć w nieuchronność wojny. Zrozumiało, że wojna zależna jest od określonych sił społecznych, od żądnych ekspansji kół wielkich monopolów i kapitału finansowego i, że w mocy człowieka jest zwalczać te siły, uwolnić się od nich i ich działania, tworzyć sobie samemu swój los. Odkrycia te są niesłychanie popularne. Po otępieniu w okresie hitlerowskim, po oszołomieniu i apatii w pierwszych latach po wojnie następuje gorączkowy okres poszukiwań nowych światopoglądów, umożliwiających sprostanie narzucającej się problematyce dnia. My pomagamy społeczeństwu w odnajdywaniu tych dróg — stąd siła naszej atrakcyjności.

— Jakimi drogami zbliżacie te odkrycia społeczeństwu?

— Drogą publicystyki, literatury, działalności naszych ośrodków kulturalnych począwszy od Akademii Sztuk, czy Akademii Umiejętności, a skończywszy na domach kultury przy fabrykach, na klubach dyskusyjnych w zakładach pracy, w bibliotekach, czytelniach, aż do placówek kulturalnych przy stacjach traktorowych na wsiach itd. Trafiamy do każdej komórki naszego życia społecznego i uczymy nasz naród, aby już nigdy nie stał się biernym narzędziem w rękach podpalaczy świata i aby wszystkie najnowsze zdobycze wiedzy ludzkiej już nigdy nie służyły celom zniszczenia, a tworzyły podstawy dobrobytu i przyjaźni między narodami. Nasz związek z masami społeczeństwa, z chłopami i robotnikami jest ścisły i nieustanny. Działalność Akademii różni się tylko programem i zasięgiem od działalności popularnych ośrodków naukowych, bo kierunek i duch jest ten sam. Akademie dawno przestały być wspaniałą dekoracją elity. Wypracowujemy teraz taki sposób pojmowania kultury, który wykluczy z naszych szeregów „arystokratów ducha" nie mających właściwego zrozumienia dla zagadnień społecznych. Również a raczej przede wszystkim zamknięte zostaną raz na zawsze możliwości dla hodowania takich bestii, jak Frank np., którego dobrze pamiętacie z czasów wojny. Toż to był człowiek „kulturalny", „cywilizowany". Wykształcony, oczytany, grał na fortepianie. My zniweczymy raz na zawsze okoliczności, sprzyjające powstawaniu takich potworów „cywilizacji". My wyjaśniamy masom, jakie problemy zamyka w sobie prawdziwa kultura i jak należy te problemy rozwiązywać. Akademicy odwiedzają domy kultury, odwiedzają kluby i wszystkie miejsca masowych zebrań, aby przekazywać społeczeństwu hasła i program postępu i demokracji. Docieramy do mas nie tylko przy pomocy słowa. Jeden z naszych największych poetów Johannes R. Becher i akademik kompozytor Hans Eisler tworzą nowy rodzaj pieśni ludowych, które nie mało przyczynią się do formowania podstawy ideologicznej naszych kadr robotniczych i chłopskich. Słyszeliście już zapewne o fakultetach przygotowawczych przy naszych wyższych uczelniach, które ułatwiają chłopom i robotnikom w przyśpieszonym tempie składać egzaminy wstępne i rozpoczynać studia. Teatr i film równolegle do wyższych uczelni umożliwiają w swojej dziedzinie dopływ wiedzy o centralnych zagadnieniach naszej epoki. Słyszeliście już zapewne o filmie „Rada bogów" demaskującym zakulisowe machinacje handlarzy śmiercią — władców wielkich monopoli. W naszym studio powstają teraz dwa nowe filmy, których motywem głównym jest wyjaśnianie mechanizmu zjawisk politycznych i społecznych. Nasze sztuki, jak „Tai Yang budzi się" lub „Matka Courage" i inne, przez wiele miesięcy wywoływały szalony entuzjazm na widowni. Oto dowód dojrzewania świadomości mas. Helena Weigel, nasza znakomita aktorka dramatyczna potrafiła jako matka Courage odtworzyć krwawą beznadziejność wojny, a „Tai Yang" to sztuka obrazująca wyzwolenie narodu chińskiego — ogromny sukces tych przedstawień dowodzi więc zrozumienia i zainteresowania społeczeństwa dla zawartych w nich problemów. Jeszcze jeden ciekawy szczegół: „Matka Courage" była grana również w Niemczech Zachodnich z niemniejszym powodzeniem. Są więc możliwości — jakkolwiek niestety nikłe tymczasem — budzenia tamtego społeczeństwa, pozyskiwania go dla naszej idei.

A kiedy już mówimy o sztukach wywołujących entuzjazm mas — słyszeliście chyba jak gorąco przyjmowany był utwór waszego dramaturga Kruczkowskiego pod tytułem: „Sonnenbruchs"! Teraz robimy film oparty na tym temacie pod tym samym tytułem. Nie jest to zresztą jedyny przejaw uznania, naszego społeczeństwa dla Waszych osiągnięć. Nasz podziw dotyczy nie tylko dzieł polskich pisarzy. Wasz system pracy, wasze zdobycze społeczne i kulturalne nierzadko są wzorem dla naszych pionierów.

— Można więc sądzić, że przyjaźń polsko-niemiecka opiera się na solidnych podstawach?

— Nie ulega wątpliwości. Przeszłość niestety zarówno ze strony reakcyjnych Prus jak hitlerowskiego faszyzmu nie zaniedbała niczego, aby do głębi zatruć stosunki między naszymi narodami. Wspomnienie tej przeszłości was napełnia goryczą, a nas głębokim wstydem. Ale pokonanie faszyzmu i powstanie Niemieckiej Republiki Demokratycznej stanowi zwrotny punkt w historii Europy — i w historii naszych stosunków również. Układy dyplomatyczne i handlowe zostały już między nami dokonane, stanowczo jednak za mała jest dotychczas wymiana dóbr kulturalnych między nami. Jednym z celów mego przyjazdu tutaj jest czywienie sprawy przekładów. Tłumaczymy już wiele dzieł polskich na nasz język, masa jednak znakomitych utworów waszych klasyków i pisarzy współczesnych nie została jeszcze udostępniona niemieckim czytelnikom. A przecież wzajemne zbliżanie naszym narodom twórców stwarza przednią placówkę dla rozwoju naszej przyjaźni.

Rozmowę przeprowadziła Zofia Rzeplińska

Mądra książka — dobry doradca chłopa

(Dokończenie ze str. 1-ej)

którym sam lud jest gospodarzem wszystkiego, w którym wszyscy ludzie stali się ciekawi każdej nowości i żądni wiedzy, gdzie każdy pragnie jutro pracować lepiej jak wczoraj i każdy wie, że tylko razem ze wszystkimi może zdobyć sobie szczęście.

Nasi bracia i towarzysze, robotnicy i chłopi polscy wstąpili w nowy etap życia, bez panów - magnatów bez sanacji. Budują oni swojej ojczyźnie nowe szczęście — socjalizm. Wiem, z jaką ciekawością zaznajamiają się polscy chłopi przyjeżdżając do Związku Radzieckiego z pracą i życiem radzieckich kołchoźników. W duszy polskiego chłopa kiełkuje coraz silniejsza pewność że w pojedynkę na wąskim indywidualnym zagonie, trudno zbudować swoje własne szczęście i szczęście swoich dzieci i wnuków. Polski chłop garnie się do nowego, ale lęka się jeszcze i wątpi — a może będzie gorzej? Przecież w czasach sanacji nagadali mu tyle kłamstw o katorżniczym jakoby życiu radzieckich chłopów w kołchozach. Gdy zaś chłopi decydują się uczynić krok ku nowemu życiu i przystępują do spółdzielni produkcyjnej, trudno im jest w początku dlatego że nie mają doświadczenia wspólnej pracy, a przeżytki dawnego, odosobnienie i nieufność wzajemna przeszkadzają im w zgodnej pracy.

Chłop radziecki przeszedł już to wszystko. Przezwyciężył już i swój lęk w stosunku do wspólnej pracy i dawne ograniczenie w małym światku własnej zagrody i wiele innych rzeczy, które przeszkadzały mu w pierwszych latach budownictwa kołchozów. Delegaci chłopów polskich widzieli podczas pobytu w kołchozach radzieckich, jak wiele otrzymał chłop od ustroju kołchoźniczego. Widzieli oni, w jaki sposób silna i przemyślna maszyna ułatwiła chłopom pracę, jak nauka agronomii nauczywszy chłopów prawidłowego płodozmianu, prawdziwej uprawy i nawożenia ziemi, prawidłowej hodowni bydła, uczyniła pracę chłopa owocniejszą, a życie chłopa pewniejszym. Widzieli oni, że tam, gdzie ludzie pracują zgodnie i przyjaźnie budzi się w człowieku wielki głód kultury, wykształcenia, opanowania wiadomości z agnonomii i techniki. Że chłop w kołchozie nie tylko posługuje się zasadami nauki ale i sam czyni nowe doświadczenia, sam obmyśla nowe ulepszenia i maszyny ułatwiające pracę.

Ale do Związku Radzieckiego nie może pojechać każdy chłop polski, który zamyśla o tym, aby rozpocząć nowe życie. I nie każdemu chłopu zdarzy się wysłuchać opowiadań o doświadczeniach radzieckich kołchoźników od tych, którzy byli w Związku Radzieckim.

I tutaj właśnie nieocenioną pomoc może przynieść książka. Przetłumaczono już na język polski wiele powieści i opowiadań pisarzy radzieckich opisujących życie radzieckiego chłopa. Jest jeszcze wiele książek, które możnaby przetłumaczyć. Mamy w Związku Radzieckim oprócz literatury pięknej wiele książek i broszur napisanych przez samych kołchoźników, przewodniczących kołchozu, traktorzystów. Książki te barwnie i prawdziwie opowiadają o tym, jak powstawały kołchozy, jak ludzie zmusili maszyny i naukę, aby pracowała dla ich szczęścia, jak sami chłopi wynajdują nowe sposoby powiększenia urodzaju, wywozu bydła, jak organizują wspólną pracę, życie, kulturę.

Radziłbym z całego serca czytelnikom „Wsi", zaznajomić się bliżej z radziecką literaturą o życiu wsi, z opowiadań samych kołchoźników o ich pracy w walce o urodzaj, o ich dążenia do ulepszenia własnej pracy.

Jestem pewien, że ci, którzy jeszcze wątpią, znajdą w tych książkach wiele jasnych odpowiedzi na swoje wątpliwości i wahania. Wiem, że chłopi rozpoczynający wspólną pracę zaczerpną dla siebie wiele doświadczenia z tych książek.

Doświadczenie zawsze się przyda. A cenne jest ono zwłaszcza wtedy, gdy rozpoczyna się jakąś wielką, ważną lecz nową sprawę.

Niech bogate doświadczenie kołchoźników radzieckich zapisane na kartach książek stanie się dla polskich chłopów pomocą w socjalistycznej przebudowie ich życia, ich przewodnikiem na nowej drodze do wielkiego wspólnego szczęścia.

ALEKSY SURKOW

JERZY GRYGOLUNAS

BALLADA O SIEDMIU KTÓRZY SĄ MILIARDEM

(Fragmenty poematu)

I

Siedmiu mężczyzn schodziło z gór.
Siedem dziewcząt płakało dumnie.
Prowadziło siedmiu mężczyzn
siedmiu w czarnych kapeluszach.
Towarzysze, opowieść prosta,
zapisana w kartach historii:
siedmiu mężczyzn schodziło z gór
z powrozami na rękach.
Szli kołysani powietrzem
rozgrzanym do czerwoności.
Ich twarze jak w barometrze
natężał ognisty okrzyk:
Evviva Republica Espana.

Siedem dziewcząt płakało dumnie
nad kołyskami niemowląt.
Siedmiu ojców roztrzelano
w cieniu hiszpańskiej Bastylii.
Noc księżycem stukała w okna,
zieleniły się łzy na oczach.
Siedem dziewcząt, siedem dziewcząt
pięknych jak kwiat paproci.

II

Siedem krzewów dojrzało kakao,
siedem krzewów złotych owoców.
Siedmiu mężczyzn suszyło kakao
w elektrycznych krematoriach.
Towarzysze to też jest proste:
deszcz na polach padał zielony,
Federico przewracał ziarna.
W jego piecu sześćdziesiąt stopni.
Siedem krzewów, siedem krzewów.
Na plantacji ich pięć tysięcy!
Siedem krzewów, siedem krzewów
cenniejszych niż Federico.
Deszcz na polach padał zielony
tak jak oczy małej mulatki.
Federico myślał o Marii,
kiedy wyszedł z pieca na deszcz.
Siedem krzewów, siedem krzewów
cenniejszych niż jego śmierć.

III

Siedmiu, siedmiu powiedziałem.
Takich siedmiu są miliony.
Siedmiu, którzy z wojną walczą,
którzy strzegą drzew wolności.
Biały motyl leci drogą.
Dzieci z siatką gonią za nim.
Małe dzieci, małe dzieci
jak słowiki o północy.
Siedmiu, siedmiu powiedziałem
Siedmiu mężczyzn czarnookich.
Takich mężczyzn są miliony
pośród dnia i pośród nocy.
Drzewa rosną w Europie.
Sady rosną — ich owoce
pełne słońca są dla dzieci.
Sady rosną w Europie.
Sady rosną w Ameryce
na plantacjach kakaowych.
Federico, Federico
rosną nie dla twoich dzieci.
Siedmiu, siedmiu powiedziałem.
Czyny ich i praca święta,
śmierć, zwycięstwa, bitwy, praca
jest milionów, a nie siedmiu.
Sady rosną kauczukowe
w kraju słońca, kraju morza.
Siedmiu, siedmiu powieszono
na plantacji kauczukowej.
Dzieci, dzieci, małe dzieci
jak księżyce różowawe.
Dzieci, dzieci jak motyle,
jak motyle swoich krajów:
dla was siedmiu umierało
nocą, którą śmierć kroczyła
przebrana w mundury Franco.

Siedmiu, siedmiu powiedziałem.
Takich siedmiu są miliony.
Federico milion pierwszy
umarł w piecu uduszony.
Siedmiu, siedmiu mężczyzn pięknych
ze sztandarem idą w tłumie.
Siedem matek, siedem matek,
siedmiu chłopców, siedem córek,
Ida, niosą sztandar walki.
Sztandar mają tak czerwony
jak motyle tropikalne.
Siedem matek, siedem córek.
Wam maleńkim, drobnym, cudnym
niosą sztandar walki w tłumie,
aby dzieci Federica,
aby Pierra i Mignon,
aby wszystkie dzieci świata
nie zaznały zbrodni złota,
nie widzały czołgów czarnych,
na plantacjach kauczukowych
nie słyszały świstu pejczy.
Aby zawsze, aby zawsze
szum traktorów budził ze snu.
Aby nigdy, aby nigdy
nie poznały zbrodni wojny.

Jerzy Grygolunas

ZBIGNIEW CHYLIŃSKI

LENIN O CHAŁUPNICTWIE

Teoria dla praktyki

„SPIS CHAŁUPNICTWA“ [1]) W. Lenina obok jego „ROZWOJU KAPITALIZMU W ROSJI“ [2]) i „PRZYCZYNKU DO CHARAKTERYSTYKI ROMANTYZMU EKONOMICZNEGO“ [3]) należy do podstawowych dzieł marksistowskiej nauki o społeczeństwie. W dziełach tych dał Lenin oprócz krytyki burżuazyjnych i drobnomieszczańskich, w tej liczbie narodnickich, teorii społecznych — naukowy obraz kapitalizmu rosyjskiego w jego rozwoju. Pierwsze z nich oświetliło jedną ze stron kapitalizmu tzw. chałupnictwo.

Poznanie struktury, społeczno-historycznych źródeł i tendencji kapitalizmu było jednym z warunków jego późniejszej likwidacji. Po to, ażeby uzbroić w świadomość klasę robotniczą do walki o ustrój socjalistyczny, trzeba było dać naukowy opis, wyjaśnienie i wytłumaczenie zjawisk systemu kapitalistycznego w ich całej różnorodności i złożoności. Wspomniane i inne dzieła Lenina spełniły to zadanie znakomicie.

Znaczenie prac Lenina nie ograniczyło się wszekże do „okresu burzy i naporu“ socjalizmu naukowego w Rosji. Znaczenie ich jest wciąż aktualne dla praktyki socjalistycznego budownictwa. Wszędzie, gdzie stoją problemy likwidacji kapitalizmu bądź jego przeżytków, teoretyczne, ogólne i szczegółowe wnioski Lenina mają swe potwierdzenie i praktyczne zastosowanie.

W chwili obecnej szczególnie interesujące są te wnioski Lenina, które dotyczą chałupnictwa. Chałupnictwo, bowiem, jest wciąż jeszcze elementem naszej gospodarki. Problem motywów i sposobów włączenia go do gospodarki uspołecznionej, przyporządkowania go gospodarce socjalistycznej, jest bardzo ważny. Warto, zresztą, choćby dla teoretycznej orientacji zrozumieć przy pomocy Lenina, czym jest w istocie owo chałupnictwo, o którym we właściwych kategoriach i terminach mówiono w naszej nauce i publicystyce naukowej stosunkowo niewiele.

Skąd się wywodzi i dokąd prowadzi rozwój chałupnictwa?

Szczególnie intensywny proces powstawania warsztatów chałupniczych, jako jeden z procesów rozwoju kapitalizmu, rozpoczął się w Rosji po roku 1863, po uwłaszczeniu chłopów. Na okres po 1863 r. przypada wzrost obrotu towarowego w Rosji. wzrost ludności handlowo-przemysłowej, kapitalizacja rolnictwa, rozwój miast, rozwój miasteczek i osiedli handlowo-przemysłowych na skutek porzucania przez ludność rolniczą dawnych zajęć i przechodzenia właśnie do zajęć handlowo-przemysłowych, wzrost PRODUKCJI TOWAROWEJ. Fakt wzrostu chałupnictwa po r. 1862 „wyraźnie świadczy o tej sile, z jaką oddziaływa na chłopstwo rozwój produkcji towarowej, oddzielając rolnictwo od przemysłu, wzmagając handel i przemysł w ogóle. Powiadamy: „oddzielenie się rolnictwa od przemysłu“, bowiem oddzielenie to zaczyna się wcześniej niż oddzielenie rolników od przemysłowców: wszelkie przedsiębiorstwo produkujące na rynek, wywołuje wymianę między rolnikami i przemysłowcami. Zatem, pojawienie się przedsiębiorstwa oznacza zaniechanie przez rolników domowej wytwórczości produktu i kupowanie go na rynku a to kupowanie wymaga sprzedaży przez wieśniaka produktów rolnych. Wzrost liczby przedsiębiorstw handlowo-przemysłowych znamionuje w ten sposób wzrastający podział pracy, tę ogólną podstawę gospodarki towarowej i kapitalistycznej“. „Wzrost drobnej wytwórczości wśród chłopstwa oznacza pojawienie się nowych produkcji, wydzielenie się nowych gałęzi obróbki surowca w samodzielne gałęzie przemysłu, postęp w społecznym podziale pracy, naczelny proces kapitalizmu, tak jak wchłonięcie małych zakładów przez większe oznacza już dalszy krok kapitalizmu prowadzący do zwycięstwa jego wyższych form. Rozpowszechnienie drobnych warsztatów wśród chłopstwa rozszerza gospodarkę towarową...“ (s. 353/54).

Wzrost produkcji towarowej i towarzyszące mu procesy wywołują postępującą wciąż dyferencjację społeczno-ekonomiczną wśród chłopów. Dlatego wielką niedorzecznością jest traktowanie chałupnictwa jako czegoś jednorodnego. W całej różnorodności sytuacji społeczno-ekonomicznych chałupników wiejskich widać wszakże wyraźnie dwa kierunki dyferencjacji: to, co we współczesnej terminologii nazwalibyśmy awansem i degradacją społeczno-ekonomiczną. Jedni chałupnicy po prostu bogacą się — stają się kapitalistami inni, większość ich, biednieją — stają się proletariuszami; pierwsi kosztem drugich, drudzy na rachunek pierwszych. „Ażeby wybić się z masy zadowolonych z biedy chałupników, przychodzi się na gruncie stosunków towarowo-kapitalistycznych wywalczać sobie „dostatek“ u innych, wstępować w walkę ekonomiczną, spychać jeszcze niżej masę drobnych przedsiębiorców, przekształcać się w drobnego bourgeois. Albo niszczenie i poniżenie do nec pluc ultra poziomu życiowego, — albo (dla mniejszości) oddanie swego (absolutnie krańcowo nikłego) dobrobytu na cudze konto — oto jaki dylemat stawia przed drobnym przedsiębiorcą produkcja towarowa Tak mówią fakty“. (s. 388).

Kto to jest „chałupnik“?

Termin „chałupnik“ był bardzo modny w niemarksistowskiej literaturze społeczno-ekonomicznej, mimo swej chwiejności i nieokreśloności **„Nie ma TAKIEJ FORMY PRZEMYSŁU** (oprócz chyba przemysłu maszynowego) — powiada Lenin — która by nie podpadała pod ten tradycyjny termin, absolutnie nieodpowiedni dla studiów naukowych“. (s. 334).

Narodnicy np. zaliczali do „chałupników“ dwie grupy producentów: I. POSIADAJĄCYCH GOSPODARSTWO ROLNE i II. NIEPOSIADAJĄCYCH GO; w obydwu grupach wyróżniali trzy podgrupy (te same dla obydwu grup): 1. chałupników produkujących na wolną sprzedaż 2. chałupników, produkujących dla bezpośrednich klientów-konsumentów (rzemieślnicy!) i 3. chałupników produkujących dla nakładców (skupywaczy). Do kategorii „chałupników“ włączani byli zatem RZEMIEŚLNICY, co jest wysoce błędne.

„Trzeba wyraźnie odróżnić producentów towarów, wytwarzających na rynek (1-sza podgrupa) od rzemieślników, pracujących dla konsumentów (2-ga podgrupa), bowiem te formy przemysłu stanowią oczywiście różne typy pod względem swego społeczno-gospodarczego znaczenia“ (s. 344). „...I przemysł fabryczny i pierwsza podgrupa „chałupników“ należą do PRODUKCJI TOWAROWEJ, jakiej nie ma w 2-giej podgrupie. Podobnie ostro należy odróżnić 3-cią podgrupę chałupników, produkujących dla nakładców (i fabrykantów), którzy ISTOTNIE odróżniają się od „chałupników“ dwóch pierwszych podgrup“ (s. 355).

W klasyfikacji, którą Lenin krytykuje, jeden moment jest bezsporny: słuszny: podział „chałupników“ na ROLNIKÓW i BEZROLNYCH (I i II grupa). „Obfitość bezrolnych chałupników w Permskiej gubernii, skupionych często w osadach fabrycznych zmusiła autorów do systematycznego przeprowadzenia tej klasyfikacji...“ (s. 333). Podział ten odpowiadając rzeczywistości, przeczy błędnemu mniemaniu jakoby chałupnictwo pozostawało w wyłącznym związku z rolnictwem.

Przekonanie o jedynym związku chałupnictwa z rolnictwem poważnie zaciążyło na opisie narodników, którzy pominęli zupełnie chałupnictwo miejskie. „Spis chałupnictwa powtarza więc notoryczny błąd narodników, polegający na rozdziale wsi („chałupnika“) i miasta chociaż dany okręg przemysłowy zawsze obejmuje miasto i okoliczne osady. Dawno już czas odrzucić ten rozdział oparty na przesądzie i na przesadzaniu przegródek stanowych, które odżyły swego czasu“ (s. 334).

Któż więc jest chałupnikiem? Kogo należy prawidłowo zaliczać do kategorii „chałupników“? Do chałupników należy zaliczać tylko produkujących na rynek, tylko **wytwórców towaru** i to zarówno wytwórców miejskich jak wiejskich. Nie można do kategorii chałupników zaliczać rzemieślników, produkujących dla bezpośrednich odbiorców-konsumentów.

Chałupnictwo jest stroną kapitalizmu

W analizie danych statystycznych Lenin dochodzi do wniosku, iż „rolnicy (I grupa), przeważając znacznie w liczbie wiejskich wytwórców i rzemieślników, wydają się bardziej zacofani w rozwoju form produkcji niż bezrolni (II grupa). U rolników rozwinięte jest bardziej prymitywne rzemiosło niż produkcja na rynek. Bardziej zaawansowany rozwój kapitalizmu wśród bezrolnych wyraża się w większym procencie robotników najemnych, warsztatów z robotnikami najemnymi i chałupników, produkujących dla nakładców. Można przeto stwierdzić, — konkluduje Lenin, — iż związek z rolnictwem utrzymuje bardziej zacofane formy przemysłu, i na odwrót że rozwój kapitalizmu w przemyśle prowadzi do oderwania się od rolnictwa“ (s. 336). „Okręg największej (absolutnie i względnie) liczby „chałupników“ jest okręgiem największego rozwoju kapitalizmu: wzrost produkcji towarowej spycha na plan dalszy rzemiosło, prowadzi do rozwoju kapitalizmu i do przejścia przemysłu w ręce nierolników tj. do oddzielenia przemysłu od rolnictwa (albo, być może, do koncentracji przemysłu wśród ludności nierolniczej)“ (s. 338).

Wbrew wszelkim próbom przeciwstawienia „chałupniczej formy produkcji“ — „kapitalistycznej“ Lenin ukazuje w chałupnictwie „dwa podstawowe PODOBIEŃSTWA, a nie różnice z kapitalizmem, mianowicie: po pierwsze, że są oni (chałupnicy — Z. Ch.) wszyscy producentami towarów, a kapitalizm to rozwinięta tylko do końca gospodarka towarowa; po drugie, większa część z nich znajduje się we właściwych dla kapitalizmu stosunkach kupna-sprzedaży siły roboczej“. (s. 340).

Istotny związek chałupnictwa z produkcją towarową ujawnia się w mechanizmie zaopatrywania się chałupników w surowiec. Lenin rozpatrując dane o chałupnictwie skórzanym stwierdza, iż opiera się ono „nie tylko na wielkich obrotach miejscowych kapitalistów w handlu skórami, lecz także na nabywaniu półfabrykatu od przedsiębiorców, t.zn. chałupnictwo powstało jako rezultat, dodatkowy produkt rozwiniętego obrotu towarowego i kapitalistycznych przedsiębiorstw skórzanych“. „Spostrzegamy tu wielce interesujący fakt, że rozwój przemysłu chałupniczego poprzedza (stanowiąc warunek tego rozwoju) głęboko zakorzeniony już obrót towarowy. Ta okoliczność jest bardzo ważna, bowiem, po pierwsze, ukazuje ona, jak dawno ukształtowało się gospodarstwo towarowe, w którym chałupnictwo stanowi jeden z członów i, jak bezsensowne jest wyobrażenie sobia naszego przemysłu chałupniczego w aspekcie jakiejś tabula rasa, która rzekomo „może“ jeszcze pójść różnymi drogami“. (s. 341—42).

O kapitalistycznym charakterze chałupnictwa świadczą wyraźnie stosunki między chałupnikami i robotnikami najemnymi.

Wiadomo powszechnie, iż duża część chałupników zatrudnia w produkcji zarówno członków swoich rodzin jak robotników najemnych z poza rodzin. Lenin odwołując się do danych o „kombinacji pracy rodzinnej i najemnej“, stwierdza: „Te szczegółowe dane w pełni potwierdzają wskazaną wyżej, paradoksalną na pierwszy rzut oka, sytuację: im większy rozmiar przedsiębiorstwa pod względem ogólnej liczby robotników, tym więcej robotników rodzinnych przypada na jedno przedsiębiorstwo, tym szersza, przeto, jest „kooperacja rodzinna“, ale wraz z tym rozszerza się kooperacja kapitalistyczna i rozszerza się niewspółmiernie szybciej. Bardziej zamożni chałupnicy, nie bacząc na posiadanie dużej liczby robotników rodzinnych, najmują jeszcze wielu robotników najemnych: **„Kooperacja rodzinna“ stanowi stronę i podstawę kooperacji kapitalistycznej“**, (s. 347 — podkr. moje — Z. Ch.).

Tym, którzy nie chcieliby traktować chałupnictwa jako elementu kapitalistycznego, Lenin zwraca uwagę, iż „warsztaty chałupnicze sięgają niekiedy pokaźnych rozmiarów: w 85 największych zakładach skupiona jest prawie 1/4 całej liczby robotników najemnych; średnio jeden taki zakład posiada 14,6 robotników. To już są fabrykanci, właściciele przedsiębiorstw kapitalistycznych“ (!). (s. 348).

Nakładctwo — system „wyciskania potu“

W całokształcie ekonomiki chałupnictwa ważną rolę spełniają t.zw. nakładcy (skupywacze). Lenin wskazuje, iż stanowią oni kategorię większych kapitalistów. Narodnicy natomiast traktowali ich bezpodstawnie jako coś zewnętrznego w stosunku do produkcji, obcego przemysłowi, jako „tylko“ przedsiębiorców wymiany. Wydaje się, iż pogląd taki nie jest obcy ekonomii burżuazyjnej jeszcze dziś. Wynika on z „niezrozumienia ogólnego i podstawowego podłoża, bazy, tła współczesnego przemysłu (i chałupnictwa w tej liczbie), mianowicie **produkcji towarowej**, w której kapitał handlowy stanowi nieodzowną część składową, a nie przypadkową i uboczną „wstawkę“ (s. 390). Dla obalenia tego z gruntu fałszywego poglądu Lenin jak zwykle odwołuje się do faktów. Np. „Możemy sobie z dostateczną jasnością — pisze — przedstawić ekonomiczną organizację przemysłu obuwniczego i wielu innych, z nim związanych przemysłów „chałupniczych“. To — nic innego, jak **filie** (otdielienija) wielkich warsztatów kapitalistycznych... nic innego, jak **częściowe operacje** wielkich operacji kapitalistycznych w zakresie obróbki skór. Przedsiębiorcy organizowali w szerokich rozmiarach zakup materiału, zbudowali fabryki dla wyprawiania skór i zaprowadzili cały system dalszej ich obróbki — system, opierający się na podziale pracy (jako warunku technicznym) i pracy najemnej (jako warunku ekonomicznym): przeprowadzają oni pewne operacje w swoich warsztatach (wykrój obuwia), inne operacje przeprowadzane są przez „chałupników“ w ich domach, pracujących na nich (na nakładców — Z. Ch.); przedsiębiorcy określają rozmiary produkcji, wysokość płacy akordowej, rodzaje wyrabianych towarów i ilość wyrobów każdego rodzaju. Oni też organizowali hurtową sprzedaż produktu. Oczywiście, iż wedle naukowej terminologii — jest to jedna **manufaktura kapitalistyczna**, przechodząca już częściowo w wyższą formę, w **fabrykę** (mianowicie o ile do produkcji przyjmują się maszyny i systemy maszyn: wielkie zakłady skórzane posiadają silniki parowe). Wydzielenie niektórych części tej manufaktury jako szczególnej formy „chałupniczej“ jest oczywistą niedorzecznością, maskującą podstawowy fakt przewagi pracy najemnej i podporządkowania **całej** wytwórczości skórzano - obuwniczej wielkiemu kapitałowi. (s. 395) System nakładctwa jest dla kapitalistów bardzo wygodny. „Rozdając materiał do domów, przedsiębiorcy zmniejszają w ten sposób płacę roboczą, unikają rozchodów na pomieszczenie, częściowo na narzędzia, na nadzór, oswobadzają się od nie zawsze przyjemnych żądań fabrykantów (oni nie są fabrykantami, oni są handlowcami!) zdobywają robotników bardziej oddzielonych, rozdrobnionych, mniej skłonnych do samoobrony, zdobywają bezpłatnych „poganiaczy“ dla tych robotników — swego rodzaju „majstrzyków wobec tych pracujących na nich chałupników, którzy **ze swojej strony najmują jeszcze robotników najemnych** (w 636 rodzinach szewców, pracujących dla nakładców, naliczono 278 robotników najemnych)“ (s. 396). Możliwości wyzyskiwania chałupników są nieograniczone, ponieważ i dzień pracy jest nieograniczony. System nakładctwa uniemożliwia kontrolę społeczną. Stąd jest on systemem „wyciskania potu“ (sweating-system).

„Wedle naukowej klasyfikacji form przemysłu, w ich postępującym rozwoju, praca dla nakładcy należy po większej części do **manufaktury kapitalistycznej**, albowiem: 1. oparta jest ona na produkcji ręcznej i na szerokiej bazie drobnych zakładów; 2. wprowadza ona między tymi zakładami podział pracy, rozwijając go także wewnątrz warsztatu; 3. stawia ona na czele produkcji handlowca, jak to zawsze bywa w manufakturze, umożliwiającej produkcję w szerokich rozmiarach, hurtowy zakup surowca i zbyt produktu; 4. degraduje ona pracujących do położenia robotników najemnych, zatrudnionych w warsztacie gospodarza lub u siebie w domu. Właśnie tymi cechami, jak wiadomo, charakteryzuje się naukowe pojęcie manufaktury, jako swoistego stopnia kapitalizmu w przemyśle (patrz „Das Kapital“, I, Kapitel XII). Ta forma przemysłu oznacza już, jak wiadomo, głęboką przewagę kapitalizmu, będąc bezpośrednią poprzedniczką następnej i wyższej jego formy, tj. wielkiego przemysłu maszynowego. Praca dla nakładcy jest więc wsteczną formą kapitalizmu i we współczesnym społeczeństwie wsteczność ta prowadzi w niej do szczególnego położenia pracujących, eksploatowanych przez cały szereg pośredników (sweating-system), rozdrobnionych, zmuszonych zadowalać się niską płacą roboczą, pracować w warunkach skrajnie antyhigienicznych urządzeń i niezmiernie długiego dnia roboczego — a głównie, w warunkach, bardzo utrudniających możliwość społecznej kontroli produkcji“ (s. 402—403).

Wydaje się, iż w świetle powyższych stwierdzeń, pogłębić można rozumienie problemu chałupnictwa. Chodzi przy tym głównie o to, żeby w chałupnictwie widzieć element gospodarki towarowej, stronę kapitalizmu, żeby wiedzieć, jak drobna produkcja towarowa rodzi kapitalizm. Praca Lenina znakomicie ułatwia zrozumienie mechanizmu rozwoju drobnej produkcji i jego społeczno - historycznych następstw. Na tym polega jej ciągła aktualność.

ZBIGNIEW CHYLIŃSKI

1) Oryginalny tytuł tej pracy brzmi: **„Kustarnaja perepis 1894/95 goda w Permskoj Gubernii i obszczyje woprosy „Kustarnoj“ promyszlennosti“** (Spis chałupstwa 1894-95 w gubernii Permskiej i ogólne zagadnienia przemysłu chałupniczego). Dzieła zebrane, wyd. ros. czwarte, t. 2, s. 329—426.

2) Lenin, Dzieła zebrane, cyd. wyd. t. 3.

3) Lenin, Dzieła zebrane, cyd. wyd. t. 2, s. 111—242.

4) Lenin, Statistika i socjołogija (Statystyka i socjologia), Dzieła zebrane, cyd. wyd. t. 23, str. 266.

5) Lenin, Spis chałupnictwa, cyt. wyd. str. 332.

Mieczysław Kokoszkiewicz

Drogi rozwoju przemysłu ludowego

Przemysł ludowy jest to dziedzina drobnej wytwórczości, wykonywanej przeważnie we własnych drobnych warsztatach, przy pomocy prymitywnych narzędzi i tradycyjnej techniki, w oparciu o surowiec, taki jak kamień, glina, słoma, drzewo, wiklina, skóra, wełna, len, konopie i inne.

Przy pomocy tej drobnej wytwórczości biedota wiejska zdobywała dodatkowe źródła utrzymania, nie mogąc wyżyć z karłowatego gospodarstwa rolnego, ani z dorywczej pracy najemnej we dworze czy u bogaczy wiejskich.

Zależność drobnego wytwórcy od rynku handlowego, brak kapitałów obrotowych na prowadzenie produkcji, konieczność wykupywania większych ilości surowca itp. wszystko to sprawia, że przemysł ludowy w ustroju kapitalistycznym jest zawsze domeną wielkiego wyzysku tych drobnych wytwórców przez nakładców i pośredników handlowych, reprezentujących większy kapitał.

W Polsce przedwojennej mimo że przemysłem ludowym zajmowało się ponad 200 tysięcy bezrolnych i małorolnych chłopów, dla których ten typ drobnej wytwórczości stanowił albo główne albo dodatkowe, ale zawsze poważne źródło zarobków nie była nigdy przedmiotem poważniejszej troski rządu. W warunkach ustroju kapitalistycznego inaczej być nie mogło.

Dopiero po obaleniu władzy wielkiego kapitału zjawia się możliwość zorganizowania przemysłu ludowego na innych, s p ó ł d z i e l c z y c h zasadach i ograniczenia w ten sposób, a z czasem całkowitego zniesienia grasującego w tej dziedzinie wyzysku kapitalistycznego.

W ustroju socjalistycznym uspołeczniony przemysł ludowy, stanowiący część drobnego przemysłu i rzemiosła, ma wielkie możliwości rozwoju. Konieczność bowiem jak najpełniejszego zaspokojenia bardzo zindywidualizowanych potrzeb ludzkich, sprawia, że istnieje wielka potrzeba rozbudowy drobnego przemysłu, który powinien w ustroju socjalistycznym uzupełniać produkcję wielkiego, kluczowego przemysłu, korzystając z jego organizacyjnej i technicznej pomocy.

WYROBY CERAMICZNE I GARNCARSTWO o cechach zdobniczo-użytkowych ogniskują się w Rabce, na nowotarszczyźnie, Krynicy, na Kaszubach, w Łowickim (Bolimów) oraz w południowej kielecczyźnie. Garncarstwo szczególnie silnie rozwijało się w Górach Świętokrzyskich (w Iłży już od XVI w.)

Ze względu na sezonowość pracy w rolnictwie, przemysł ludowy stanowić będzie zawsze, nawet po całkowitym zlikwidowaniu przeludnienia na wsi, poważne dodatkowe zajęcie dla ludności wiejskiej.

W Planie Sześcioletnim, który ma na celu zbudowanie fundamentów socjalizmu w Polsce, na uspołecznienie i rozwój przemysłu ludowego zwrócona została specjalna uwaga.

Plan roku 1950 pierwszego roku Planu Sześcioletniego przewiduje zorganizowanie znacznej części przemysłu ludowego w ramach spółdzielczości pracy. Chodzi tu zwłaszcza o:

a) właściwe zaopatrzenie surowcowe i w materiały pomocnicze,
b) zbyt gotowych wyrobów w kraju i za granicą,
c) przydział funduszów inwestycyjnych i obrotowych,
d) urządzanie wspólnych warsztatów,
e) instruktaż branżowy dla warsztatów indywidualnych i zespołów.

Dotychczasowa struktura organizacyjna przemysłu ludowego będzie musiała ulec zmianie przez usunięcie elementów kapitalistycznych, na drodze popierania dobrowolnego przekształcania się indywidualnej drobnej wytwórczości w spółdzielcze zespoły pracy.

Chłop - wytwórca otrzyma potrzebną pomoc, aby mógł rozwinąć swoją działalność, bowiem powstałe spółdzielnie, wyposażone w dostateczną ilość kapitału obrotowego, będą mogły z powodzeniem załatwić ich sprawy w zakresie surowca, dostarczenia maszyn i narzędzi oraz zbytu gotowych wyrobów.

Postawienie warsztatów przemysłu ludowego na odpowiednim poziomie technicznym, oraz zaopatrzenie ich w tani i właściwy surowiec wpłynie na jednolitość gotowych wyrobów, a zatem zwiększy łatwość zbytu w szczególności, jeśli chodzi o zagranicę.

Możność korzystania z kosztowniejszych pomocniczych urządzeń technicznych ma duże znaczenie dla przemysłu ludowego i ma wpływ na jakość wykonania względnie przyczynia się do zmniejszenia czasookresu pracy.

Najważniejszą czynnością spółdzielczości będzie zbyt gotowych wyrobów, który ze zrozumiałych względów nie da się w przeważającej ilości wypadków korzystnie załatwić pojedyńczo na własną rękę przez poszczególnych wytwórców, co może być przeprowadzone przez spółdzielnię, jako wyspecjalizowaną placówkę gospodarczą.

Wobec szerokich zamierzeń zaprojektowanych w zakresie przemysłu ludowego w ramach planu 6-letniego — powołano w roku 1949 Centralę Przemysłu Ludowego i Artystycznego, jako centralę spółdzielczo-państwową dla zorganizowania wiejskich spółdzielni wytwórczych w zakresie przemysłu ludowego i artystycznego.

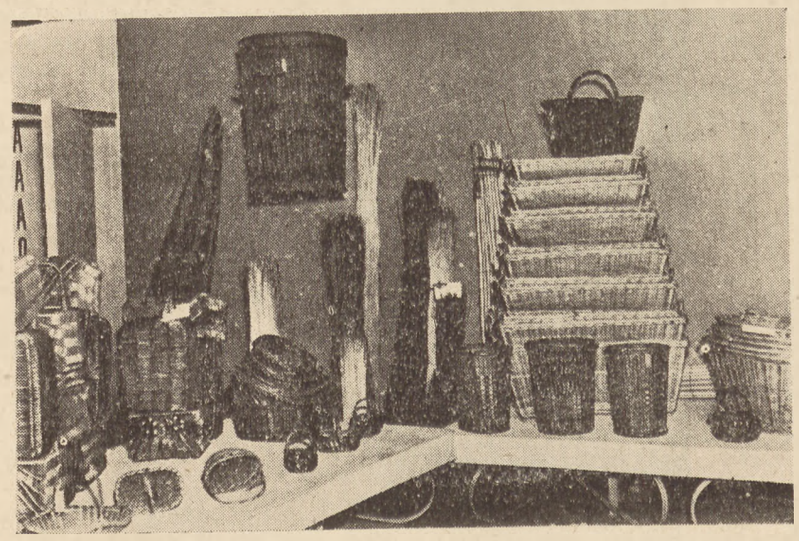

WIKLINIARSTWO I KOSZYKARSTWO skupia się na terenie pow. Krakowskiego i Tarnowskiego. Wyroby te w przeważającej ilości są eksportowane zagranicę.

Obecnie przemysł ludowy wchodzi w nowy etap swojego rozwoju, w ramach planu gospodarczego i z tej racji musi być oczyszczony z elementu prywatnych pośredników, obcych klasowo szerokim masom wytwórców wiejskich.

Nowopowstała Centrala Przemysłu Ludowego i Artystycznego musi doprowadzić do zasadniczego przełomu na odcinku wytwórczości drobnotowarowej na wsi, obejmującym ca 200.000 zatrudnionych, a najmniej dotychczas zorganizowanych i prawie niedostępnych jakiejkolwiek kontroli społecznej.

Ustawienie Centrali Przemysłu Ludowego i Artystycznego frontem do oczekujących ją zadań w zakresie organizacji produkcji, zaopatrzenia i zbytu przemysłu ludowego oraz tworzenia tego typu zdrowych społecznie spółdzielni, to jej najważniejsze zagadnienia gospodarcze i ustrojowe.

Ale jednocześnie trzeba dokonać dwóch wielkich reform organizacyjnych. Pierwsza — to ścisłe związanie się ze spółdzielniami i uruchomienie spółdzielczego aparatu zaopatrzenia i zbytu. Druga — to ustalenie właściwej organizacji Centrali, jako przedsiębiorstwa, usprawnienie i uelastycznienie poszczególnych wydziałów przy zachowaniu wspólnej dyspozycji gospodarczej całości.

Na wsi przed Centralą Przemysłu Ludowego i Artystycznego stają duże zadania. Trzeba zebrać doświadczenia i przygotować aparat odpowiednio wyszkolony do tej pracy społeczno-gospodarczej.

Trzeba będzie dokonać olbrzymiego wysiłku w dziedzinie organizacyjnym i gospodarczym. Przejąć w swoje ramy całość wytwórczości chłopskiej i wraz ze spółdzielniami zorganizować na wsi zwarty system spółdzielczego przemysłu drobnotowarowego.

Centrala Przemysłu Ludowego i Artystycznego wraz ze Związkiem Samopomocy Chłopskiej będzie musiała się zmierzyć z wielkim, trudnym zagadnieniem uspołecznienia przemysłu ludowego. Przymus, przepis i wszelkiego rodzaju odgórne decyzje nie mogą rozwiązać tego problemu.

Tu trzeba działać i robić porządek po myśli interesów chłopa-wytwórcy. Należy działać elastycznie. Muszą działać sami zainteresowani. To znaczy musi działać zdrowa chłopska spółdzielczość.

MIECZYSŁAW KOKOSZKIEWICZ

ANDRZEJ KIJOWSKI

POZORY REALIZMU

CYKL powieściowy Kazimierza Brandysa dobiega końca. Już kilka miesięcy temu w Klubie Dobrej Książki ukazał się tom trzeci pt. „Troja miasto otwarte“ (ostatnio nakładem „Czytelnika“ pojawiło się wydanie drugie w wolnej sprzedaży), a opublikowane w 4 numerze „Nowej Kultury“ fragmenty tomu czwartego pt. „Człowiek nie umiera“ świadczą o tym, że ostateczne zakończenie cyklu znajduje się w stadium realizacji.

Nie pora jeszcze na ogólne wnioski krytyczne o całości. Jest jednakże już czas na stwierdzenie kilku spraw dostatecznie ujawnionych we wszystkich dotychczasowych częściach cyklu. Ale najpierw zajmijmy się „Troją“.

I.

Ostatnia powieść Brandysa zwraca przede wszystkim uwagę niezwykłą u tego pisarza szerokością historycznych perspektyw. Akcja rozgrywa się w Paryżu — w samym centrum rozgrywek politycznych bądź to — jak w części pierwszej — poprzedzających wybuch drugiej wojny światowej, bądź to — jak w części drugiej — typowych dla owego okresu po zakończeniu wojny, w którym te same koła polityczne, które w 1938 roku reżyserowały przyjaźń niemiecko-francuską, w roku 1947 wszczynały ostrą kampanię przeciwko Związkowi Radzieckiemu i krajom demokracji ludowych. Oczywiście, nie odkrywa tutaj Brandys nieznanych lądów — przypomina i kojarzy tylko fakty dobrze znane z gazet i postępowej publicystyki. Nie na tym też polega znaczenie jego powieści oraz śmiałość artystycznego zamiaru.

Nie poprzestał Brandys na kompromitowaniu obozu imperialistycznego, jakkolwiek powieść jego zawiera bardzo wiele celnych uderzeń. Takie „kwiatki“, jak salon Laury de Fenac, zakulisowe brudy ambasady polskiej w Paryżu, cyniczna działalność ministra Gwidona Bielskiego, łajdacka afera profesora Lutrechta wywołana przez wywiad amerykański, a poparta przez policję francuską — mówią wiele bezkompromisowej prawdy i świadczą o dużej zdolności pisarza w poruszaniu się na terenie bieżącej historii. Ale mimo to nie o te sprawy głównie w „Troi“ chodzi.

Sprawy te posłużyć miały za tło losów człowieka, którego filozofią życiową było programowe odżegnywanie się od wszystkich politycznych konfliktów współczesności. Julian Szarlej — ów właśnie bohater Brandysa — nic nie chciał wiedzieć o burżuazji i proletariacie, o komuniźmie i faszyźmie, o wojnach i pokoju. Nie chciał wiązać się z którąkolwiek ze stron walczących, pragnął żyć samotnie i samodzielnie, służąc „sztuce i myśli czystej“, ogłosił się „miastem otwartym“ — myśląc, że tą drogą zdobędzie niezawisłość i doskonałą wolność.

Powieść Brandysa służyć ma kompromitacji takiej właśnie postawy ideologicznej. Koncepcja Brandysa polega na udowodnieniu przykładem życia Szarleja, że nie istnieje w dobie konfliktu burżuazji z proletariatem możliwość apolitycznej postawy, że klerk głoszący wzniosłą obojętność wobec historii staje się mimowolnym sojusznikiem sił reakcji.

Kazimierz Brandys

Kompromitację Juliana Szarleja przeprowadził Brandys dwoma środkami — jaskrawo przeciwstawnymi. O przedwojennych wypadkach opowiada w pierwszej części powieści sam Szarlej i jego własny pamiętnik świadczy o jego filozoficznej i życiowej klęsce poniesionej w tych latach.

O wypadkach powojennych opowiada Wacław Pankrat, znany z poprzednich tomów cyklu działacz komunistyczny i wydaje świadectwo niechlubnej działalności Szarleja podczas wojny i po jej zakończeniu.

I już na tym miejscu przychodzi nam zgłosić pierwsze zastrzeżenia. Zapytajmy bowiem wprost: jakie konsekwencje czekają bohatera powieści, jeżeli naszą wiedzę o nim czerpać będziemy przez pół z jego własnego pamiętnika, a przez pół z relacji — wcale doń nie najprzychylniej usposobionego narratora? Na pozór zdawałoby się, że bohater zjawi nam się w świetle jak najpełniejszym, tymczasem okaże się, że Julian Szarlej zjawił się w świetle własnych złudzeń z jednej strony, a oskarżających uproszczeń z drugiej strony. To tak jakby ktoś na obraz wiszący na ścianie spojrzał raz jednym raz drugim końcem lornetki, ani razu nie spojrzawszy nań gołym okiem.

2

Dla udowodnienia naszej słuszności przejdźmy kolejne stadia kompromitacji Szarleja. Stadium pierwsze: kompromitacja Szarleja-intelektualisty. Szarlej często bawi się w układanie efektownych aforyzmów o sztuce, o ludziach, o moralności, ale od pierwszych stron jego pamiętnika czytelnik nie wątpi, że ma do czynienia ze zgrabnie wystylizowanymi bredniami. Oto próbka: „Ilekroć patrzę na długie nogawki z tasiemkami, zwieszające się z okna (mieszkania robotniczego) rozumiem z niezwykłą jasnością buntownicze myśli tych ludzi“. Albo — coś z historiozofii: „Średniowiecze wydawało mi się zawsze szczytem estetyki społecznej, ze swą zasadą patrymonium, która powierzała świadomości władzę nad niewiedzą. Jedynie w tym świecie mogły były powstać katedry gotyckie, rozumne i wyniosłe, gdzie los każdej cegły, zawisły od idei ostrołuku, dzielił los całości. Usiadłbym tam, w cieniu portalu z garścią oliwek w czapce i patrząc na ów świat, który Giotto pierwszy odkrył w swoich tłach, nie pragnąłbym niczego prócz jego mądrości...“.

W tym miejscu warto zrobić ukłon w stronę Brandysa za świetną stylizację pamiętnika Szarleja. Brandys musiał przez cały ciąg tej części powieści przesuwać styl po krawędzi parodii, dbając jednocześnie o to, by narbyt wyraźna parodia nie przyśpieszała sztucznie procesu demaskowania się Szarleja. Trzeba przyznać, że eksperyment się udał!

Z wyżej przytoczonych zdań rozpoznajemy łatwo właściwą postawę — a raczej pozę Szarleja wobec świata: jakiś naiwny estetyzm, nie poparty żadnym konsekwentnie przyjętym systemem filozoficznym. Ale też wychodzi tutaj pewna sprzeczność w założeniach Brandysa: czy Brandys zamierzał kompromitować klerka za klerkizm, czy rzekomego klerka za naiwność? Zdaje się, że chodziło o to pierwsze, ale Brandys ułatwił sobie zadanie biorąc na cel wyjątkowo łatwą ofiarę.

O ile jednak to stadium kompromitacji przedstawia się dość wątpliwie, w następnych pójdzie już Brandysowi lepiej, chociaż gdy przyjdzie kolej na artystyczną porażkę Szarleja, możnaby zgłosić podobne zastrzeżenia. Reakcyjny dramat Szarleja okazał się gorszy od dramatu Marcina Wawrzyckiego. Rewolucyjna treść wzięła górę nad stylistycznymi gierkami i naiwną koncepcją pierwszego. Zgoda, ale gdyby koncepcja nie była naiwna, gdyby młody pisarz spotkał się oko w oko z naprawdę dobrym pisarzem, a nie z infantylnym megalomanem?

Najmniej stosunkowo wątpliwości budzi kompromitacja moralności Szarleja i jego godności osobistej. Bo wprawdzie mógłby jeszcze jakiś nudziarz dopytywać się: no, a gdyby papa Szarleja nie zbankrutował, a gdyby Szarlej nie potrzebował na gwałt pieniędzy, to może pozostałby „samotny i czysty“, do końca nie potrzebując plugawić się stosunkami z Laurą de Fenac i faszystami? I kto wie, czy nie musielibyśmy przyznać racji owemu nudziarzowi, gdyby nie to, że na tym miejscu Brandys sam rozpoczyna pewną rehabilitację Szarleja, wkładając w jego usta słowa ostrego potępienia zarówno siebie jak i swoich mocodawców. („Zło polega na tym, że źródła mojej wolności tkwią w przedmiotach mojej pogardy“...)

Krótko mówiąc: nasze zarzuty pod adresem pierwszej części „Troi“ sprowadzają się do tego, że Brandys z a d e k l a r o w a ł tylko dyskusję z klerkizmem i kompromitację apolitycznej postawy, ale dla przeprowadzenia tego zamiaru powołał do życia nieciekawą kreaturę człowieka, który skompromitowałby się równie dobrze w każdej innej sytuacji. I tutaj właśnie znajduje się charakterystyczne dla Brandysa pęknięcie jego realistycznych koncepcji: typowy problem stwarza i zapowiada w deklaratycznych ogólnikach, a nie potrafi stworzyć typowych postaci dla dostatecznego uargumentowania swoich tez. „Pęknięcie“ to pójdzie jeszcze dalej w drugiej części „Troi“ a da się łatwo odnaleźć w poprzednich częściach cyklu.

3

Koleje losu Juliana Szarleja w drugiej części powieści potoczą się dosyć dziwnie i to ściśle w tym kierunku, ażeby potwierdzić nasze poprzednie zarzuty. W opowiadaniu Wacława Pankrata znajdziemy Szarleja właśnie takim, jakim określiliśmy go powyżej: nieciekawa kreatura, niezdolna do jakiejkolwiek decyzji, od jakiegokolwiek czynu, do zajęcia jakiejkolwiek postawy wobec świata. Dzieje się to zresztą zupełnie pomimo woli autora: Brandys wkłada w usta Szarleja długie monologi, świadczące o dokonywaniu się w nim jakichś przełomów, każe mu powziąć decyzję powrotu do kraju, działać wśród emigrantów, skłaniać się do porzucenia swej niechęci do demokracji ludowej — jednym słowem Szarlej powinien być w drugiej części „Troi“ znacznie żywotniejszy i „pozytywniejszy“ niż w pierwszej. Cóż wiemy o tym „pozytywniejszym“ Szarleju? Dowiadujemy się o nim tylko z ust Pankrata. Pankrat, jako człowiek walki ma prawo potępiać Szarleja, przyjmować każde jego słowo i każdy postępek z niedowierzaniem i niechęcią — tworzyć aż nadto surowy i jednostronny komentarz. Ale Brandys-autor nie powinien był na tym poprzestać.

O ile więc w swoim pamiętniku tyle przynajmniej był wart Szarlej, że usiłował jednak formułować swoje poglądy, przeżywał boleśnie każde załamanie, dostrzegał i nazywał po imieniu każdorazowe bankructwo swych zasad moralnych — o tyle w drugiej części pojawia się tylko jakiś martwy schemat socjologiczny, jako problem niezdecydowanego inteligenta, którego Brandys nie zadaje sobie trudu rozwiązać w pokazaniu psychologicznego przełomu w tym człowieku, ale poprzestaje na schematycznych, upraszczających ogólnikach Pankrata.

Ale nie koniec na tym. W ten sam sposób postępuje Brandys ze sprawą profesora Lutrechta, gdzie deklarując w samym założeniu zdemaskowanie reakcyjnego mitu o bezklasowości nauki i skompromitowanie postawy niezależnego humanitarysty nie uważa za stosowne pokazać nam bliżej profesora, nie pozwala nam być świadkami dyskusji marksisty Cebrowskiego z Lutrechtem. O dyskusjach tych dowiadujemy się tylko z ust Cebrowskiego, w formie podobnych ogólników jak od Pankrata o Szarleju. Rozpoznajemy więc dobrze niestety znaną praktykę Brandysa, praktykę polegającą na stale powtarzającym się rozłamie konstrukcji intelektualnej jego powieści między myślących narratorów, a działających bohaterów.

4

Określenie błędu Brandysa nie jest takie proste. Nie jest proste dlatego, że mamy tutaj do czynienia nie tylko z niedostatkami pisarskiego warsztatu, ale z pewnymi właściwościami postawy ideologicznej pisarza. Ażeby sprecyzować te właściwości przyjrzyjmy się dokładniej dotychczas wydanym częściom cyklu „Między wojnami“.

Jeżeli postawimy sobie pytanie, co stanowi o jedności kompozycyjnej wymienionego cyklu, odpowiedź naprowadzi nas na wnioski zupełnie pokrywające się z zarzutami postawionymi „Troi“. O jedności tej bowiem stanowią — nie jak np. u Balzaca — losy i postacie bohaterów — ale założona koncepcja. Dowód? Łatwy. Gdyby bowiem prześledzić dokładnie losy bohaterów Brandysa — Pankrata, Szarlejów (trzech), Beaty Orszanki i in., gdyby baczniej zbadać zależność różnych opisanych faktów, ich splatanie się i wzajemne wynikanie — wtedy ogarnęłoby nas przygnębienie i trwoga. Ach, więc skoro rzeczywiście los Jakuba Golda przesądzony był dwoma przypadkami — raz kiedy po pijanemu posiusiał Grób Nieznanego Żołnierza, drugi raz kiedy nieszczęśliwym trafem zabił kamieniem kolegę, — skoro rzeczywiście blizna na ręce Pankrata i nieodpowiedzialne gadulstwo Juliana Szarleja zdecydowało o jego losie, skoro przedziwnym zbiegiem okoliczności Julian musiał akurat zakochać się w kochance swojego brata, siostrzenicy kochanki swojego ojca — który znów był synem nieślubnym jej lokaja — skoro naprawdę tak się na świecie dzieje, jakiż absurdalny jest ten świat, jak tyrańską władzę sprawuje w nim przypadek, jakież bezsensowne jest wszelkie działanie człowieka. I jednocześnie wyciągając tego rodzaju wnioski z książek Brandysa wiemy doskonale, że one są całkowicie sprzeczne z koncepcją autora, koncepcją na innych miejscach wyrażoną explicite.

Brandys rzeczywiście mówi o zależności losu człowieka od pozostających poza zasięgiem jego działania praw, rządzących jego życiem, ale prawa te wynikają nie z irracjonalnych, ciemnych sił igrających porządkiem świata, wynikają z konkretnych warunków społeczno-ekonomicznych, aktualnych na danym etapie rozwoju historycznego. Brandys mówi o psychologicznych skutkach owego specyficznego dla epoki imperializmu splątania losu człowieka z ogromem zagadnień i zjawisk, przytłaczających go swoim niejasnym dla niego ciężarem. Fatalizm Jakuba Golda, cynizm Ksawerego Szarleja, naiwna i rzekoma pogarda Juliana Szarleja — to maski człowieka okresu imperializmu, nałożone mu przez historię.

Taka jest ogólna koncepcja Brandysa — koncepcja błędna już w samym swoim założeniu, bo niedostatecznie doceniająca rozwój świadomości człowieka — koncepcja błędnie zrealizowana, bo zamiast w y n i k a ć z losów poszczególnych bohaterów, dopasowuje je sztucznie do powziętych założeń, przesądza je i paraliżuje. Dlatego Brandys nie stworzył ani jednego prawdziwego bohatera, stworzył samych bohaterów p o z o r n y c h, których myślenie, działanie, indywidualności przekreślone zostają już w łonie matki, ponieważ historia zechce inaczej, ponieważ obiektywne warunki społeczno-gospodarcze zmiażdżą ich w swoich nieubłaganych trybach.

Są to z jednej strony fałszywe wnioski wyciągnięte z teorii materializmu historycznego, z drugiej strony nieporozumienia wokół realizmu, a z trzeciej strony łatwizna pisarska. Fałszywym wnioskiem jest kanonizacja „historii“ na fetysza, nieporozumieniem wokół realizmu jest przekonanie jakoby obowiązkiem realisty było pisanie powieści opartych na wielkich panoramach historycznych, aby na ich tle dopiero pokazać losy zupełnie małych i przeciętnych ludzi. Łatwizny pisarskie pokazywaliśmy na przykładzie „Troi“.

Ale ten problem ma jeszcze swoją czwartą stronę. Na tej stronie należałoby wypisać wiele słów uznania dla Brandysa, którego dzieło jest przykładem najbardziej uporczywych i ambitnych zmagań z nawałem trudności i przeszkód piętrzących się przed naszą młodą literaturą socjalistycznego realizmu. Jest przykładem niestrudzonego nadążania za najbardziej palącymi i aktualnymi problemami współczesności. Dlatego — prawie wyłącznie dlatego, jest też obrazem typowych błędów i potknięć — typowych, bo nie tylko Brandys im uległ.

ANDRZEJ KIJOWSKI

JERZY MACIEJEWSKI

U tkaczki sokólskiej

Felicja Jaroszewiczowa jest wdową po Adolfie. Tym samym, o którym Józef Grabowski pisał w „Odrodzeniu“: „Długo i daremnie poszukiwała Plutyńska tkaczki ludowej, która zechciałaby porzucić panującą modę i wrócić do dywanów dawnych. Ideę jej zrozumiał dopiero mężczyzna, dorywczo i ubocznie zajmujący się wyrobem dywanów: Adolf Jaroszewicz. Od współpracy Plutyńskiej z Jaroszewiczem rozpoczął się proces regeneracji dawnych dywanów, porzuconych i niemal zapomnianych. ...Nie powtórzono natomiast dawnych wzorów, które zaginęły już w pamięci, a tym bardziej trudne były do odnalezienia nawet wśród porzuconych rupieci“.

To nie odpowiada prawdzie, bo Alicja Jaroszewiczowa posiada, (a zapewne nie tylko ona, skoro uwzględnimy zwyczaj dawania w posagu dywanów) i pokazywała mi dywan o mieszanej ornamentyce geometrycznej, stylizowanych kwiatów i ptaszków, a więc daleki zarówno od wzorów „kapowych“, jak i „gardynowych“ (od ros. gardina— firanka). Dywan ten pochodził, jak świadczyła wytkana na nim data, z r. 1901.

Jaroszewiczowa nie mieszka w samym Janowie, lecz daleko w polu, na kolonii. Dom jej stoi, jak to się mówi, na „wygwizdowie“. Dziedziniec jest rozgrodzony. Pośrodku rdzewieje porzucony pług. Gdzieś w kierunku na Długi Ług zapada czerwona tarcza słoneczna. To na słotę.

Zapytana o męża, Adolfa, wyjaśnia, że umarł w roku wyzwolenia.

— On nie dał rady pracować. Miał płuca gazem zatrute jeszcze z tamtej wojny. 14 lat się leczył... Plutyńska szukała tkaczy w Boguszach i tak trafiła do nas. Ja umiałam tkać od dziecka, potem nauczyłam i męża, bo do ciężkiej roboty był nieprzydatny. Początkowo robiliśmy dywaniki wąskie 1 x 70 cm. Szło to bardzo powoli. Wełna była zła, przędza się rwała. Potem zaczęliśmy brać wełnę z własnych baranów, same kobiety przędły.

Z izby, gdzie jest ustawiony warsztat i gdzie toczy się ta rozmowa, nie wychodzi prawie na krok mężczyzna wysoki, chudy, nędznie odziany. Jaroszewiczowa parokrotnie zwracała mu uwagę, że trzebaby oporządzić bydło, zadać mu obroku. Odpowiada, że jeszcze zdąży. Gdy wyszedł na chwilę, gospodyni wyjaśniła:

— Ten człowieczek to pogorzelec. Spalił się doszczętnie na jesieni i teraz przebija się po sąsiadach, aby do wiosny. Chciałby się budować, ale o drzewo teraz trudno.

Alicja Jaroszewiczowa wyniosła na dwór swój dywan z r. 1901. Stary, kolorowy, mocny, niezniszalny... (Wieś Janów, Kolonia).

W tym określeniu „człowieczek“ było coś z litościwej pogardy dla stanu majątkowego sąsiada, lecz przede wszystkim był w tym wyraz stosunku do jego władz umysłowych, nie ulegało bowiem wątpliwości, że „nie wszyscy byli tam w domu“. Wreszcie gdy człowieczek powrócił i tkwił dłuższą chwilę na poprzednim miejscu, pisnął — bo trudno to nazwać inaczej — nieśmiało: — Jeść!

Jaroszewiczowa przed chwilą tłumaczyła się, że przyjąć mnie nicz nie może, nawet kawą. Nic godnego gościa z dalekiej Warszawy nie ma w domu. Prośba-skarga człowieczka jak gdyby przeniosła ją w inny, codzienny świat: — Zaraz, zaraz — powiedziała, i, przepraszając mnie zakrzątnęła się przy kuchni. Gdy obejrzałem się, człowieczek, przysiadłszy na stołku i schylony nad miską jadł pilnie a szybko.

Ona tymczasem opowiadała o sobie, że od 9 lat jest chora na płuca, co jej wielce utrudniało i nadal utrudnia pracę. I w tym roku była w Białymstoku, gdzie jej stosowano zastrzyki...

Przy pomocy długiego, płaskiego pręta, który ona nazywa „drzazgą“, Jaroszewiczowa zręcznie oddziela osnowę brunatną od „siwej“, czyli brudno - niebieskiej, i przepuściwszy czółenko z wątkiem przy pomocy „płochy“ nabija wątek. Za każdym razem uderza tak 11 razy. Wali mocno, co wymaga wysiłku.

— Co kolor wełny — wyjaśnia — to inaczej farbę przyjmuje... Pani Plutyńska nalega na to, by w jednym motku były różne odcienie. Ładniej wychodzi.

Otwierają się drzwi i wchodzi młody mężczyzna. Przyjechał na rowerze z Wasilówki, wysłany przez Aurelię Jurkowską, by przywiózł od ciotki kłębek przędzy o pomarańczowej barwie. Potrzebny jest dla wykończenia oglądanego przeze mnie przed kilkoma godzinami dywanu. Oczywiście wywiązuje się rozmowa o chorej dziewczynce.

— Gorączka ponad 39 i koszulka taka mokra, że można wyżymać.

— Co wy robicie! — unosi się Jaroszewiczowa. — Nie słuchajcie doktora. Dać jej ze 30 baniek, z tłuszczem, terpentynką posmarować! Ja już taki doktór na dzieci — zwraca się do mnie, jakby szukając potwierdzenia i aprobaty.

Kręcę głową przecząco: Poco w takim razie uciekać się do porady lekarza?

Mężczyzna odjeżdża. Szare nici zmierzchu wplatają się w atmosferę izby, gdzie mocne uderzenia płochy w wątek odmierzają upływający czas. Wraz z czółenkiem snują się słowa Jaroszewiczowej, monotonne, w jednej tonacji, ale jak narastający dywan wielobarwne:

— Za dzień zrobię — powiada Jaroszewiczowa — około 15 cm. Od całego dywanu mam 4 i pół tysiąca. Gdy która kobieta ma córki w domu, a sama nie umie tkać, to daje wełnę do roboty i płaci — jak teraz — dwa metry żyta od dywanu. To pracowita rzecz.

— Czy to siedzenie całymi dniami przy warsztacie nie jest nudne? Jest zdziwiona. Zaprzecza. Lubi tę robotę! Jak jej nie ma, to czuje się chora. Cały dzień przy krosnach schodzi, że nawet nie zauważysz. A myśleć przy tym trzeba ciągle. Inaczej by nie powstały te dywany, zapoczątkowane w r. 1934. O tym okresie ładnie powiedziała Eleonora Plutyńska, że „...dorobek owego czasu — złożony jak miód w ulu — karmi dalsze pokolenia“.

Myśleć trzeba ciągle... Praca ta wymaga bowiem ustawicznej, napiętej uwagi. Kompozycja dywanu obejmuje motywy drzewek, m. in. rodzaj choinki, gęsto obwieszonej szklanymi bombkami, a nazwanej przez tkaczkę „gruszką“. Inne drzewko z wahaniem określa jako „gruszkę kwitnącą“, choć z równą słusznością możnaby je nazwać nowoczesnym kandelabrem. Jest też motyw winnego grona. Jak się zdaje, nie ma tu żadnych kanonów i żadnej ustalonej nomenklatury. Każda kompozycja jest wytworem wyobraźni Jaroszewiczowej. Mogą występować pewne warianty, żaden jednak motyw wiernie się nie powtarza. W tym właśnie trzeba się doszukiwać świeżości, odrębności i wyższości nad produkcją fabryczną.

Jaroszewiczowa bynajmniej nie uważa, że motyw początkowy dywanu musi znaleźć swój odpowiednik w końcowej jego partii.

— Jak mi miejsca starczy, to dam na zakończenie ptaszki — powiada beztrosko.

Jeżeli Jaroszewiczowa zdołała przekazać swej młodej i zdolnej córce, której w domu nie zastałem, swój kunszt samorodny, jeżeli w innych tkaczkach Sokólszczyzny ugruntuje się przekonanie, że „teraz nasz wzór też ładny choć są fabryczne“, to z przyszłości tkactwa tego regionu można sobie obiecywać wiele.

*

List był krótki: „Chętnie udzielę Panu informacji o najważniejszej pracy mego życia. Eleonora Plutyńska“.

Idąc na Powiśle ,myślałem, że szczęśliwy jest ten, kto ma już poza sobą, lub jest w trakcie dokonywania dzieła, które nazwać może „najważniejszą pracą swego życia“.

Maleńki pokoik na czwartym piętrze. Przy ścianie pianino, na nim skrzypce w futerale. Na ścianach — i pod ścianą — samodziałowe dywany, ciekawe w ornamentyce i barwie. Każdy z nich ma swoją historię.

— Jaka była geneza zainteresowania się dywanami (podwójnymi tkaninami)? Prof. Czajkowski przywiózł po pierwszej wojnie światowej sztukę tkaniny z okolic Knyszyna. Tkanina była piękna. Zastanawialiśmy się, jaką techniką była robiona? Może z czasów Tyzenhauzowskich na jakimś żakardzie? Przecież okres ten promieniował daleko i długo. Potem jednak przekonaliśmy się, że to wyrób zwykłej tkaczki wiejskiej.

Inicjatywa wyprawy na odnalezienie tego rodzaju tkaczek wyszła z kół etnografów i artystów, grupujących się przy Uniwersytecie im. Stefana Batorego. Omawialiśmy kwestię, dlaczego tkaniny ludowe, dwuosnowowe, są tak piękne, współczesne zaś czasami gorsze, czasami b. złe. Wysłano mnie, bym rzecz na miejscu zbadała, by znaleźć środki leczenia. Najpierw tedy udałam się do wsi Bogusze koło Sokółki, gdzie, jak mi mówiono, są dwie tkaczki, siostry Kondówny. Poprosiłam o pokazanie roboty, warsztatu. Technikę miały doskonałą, precyzyjną, lecz to, co robiły było i brzydkie i bezsensowne! — Chciałam zobaczyć stare wzory. „A, to takie, jak w

(dokończenie na str. 5)

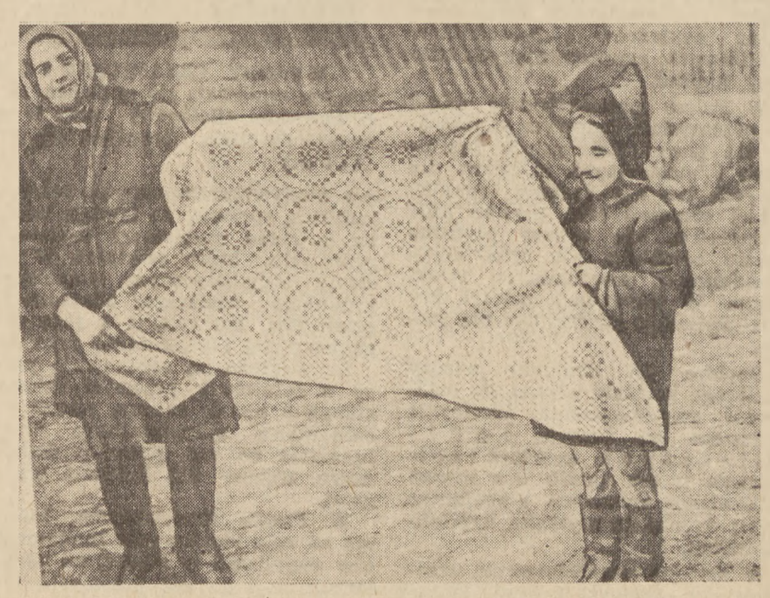

Monika Gołko wraz ze swą córeczką prezentuje lnianą, o pięknym wzorze, narzutę.

JANINA LESKIEWICZOWA

INTELIGENCJA WARSZAWSKA PRZED 80 LATY

Zagadnienie rozwoju inteligencji polskiej jako warstwy społecznej, proces jej kształtowania się i rola odgrywana w dziejach stanowią dziś problemy aktualne, interesujące nie tylko naukę, ale i szerokie rzesze społeczeństwa. Najlepszym tego dowodem jest ożywiona dyskusja, jaka wywiązała się na terenie prasy po wydaniu w 1945 r. rozprawy J. Chałasińskiego p. t. „Społeczna genealogia inteligencji polskiej". Głoszone wówczas przez dyskutantów poglądy zawierały skrajnie odmienne twierdzenia, przeciwstawne sobie koncepcje, zasadnicze zupełnie różnice zdań. Tymczasem uważna lektura większości artykułów wykazuje zupełne pominięcie, lub też nieznajomość materiałów będących podstawą wysuwanych tez. Więcej nawet treść i zakres terminu „inteligencja" są w pierwszej fazie dyskusji zupełnie nieokreślone. Autorowie dowolnie posługują się tym pojęciem widząc w omawianej warstwie społecznej bądź to elitę umysłową, której geneza sięga w. XVI, bądź też warstwą pracowników umysłowych, powstałą w czasach stanisławowskich. (Oba te pojęcia zgodne są zresztą z tradycjami językowymi). Z punktu widzenia stosunków społeczno - gospodarczych jedynie ten drugi zespół wyodrębnia się spośród reszty społeczeństwa opierając się na specyficznej podstawie bytu materialnego, jaką stanowi sprzedaż zdolności do pracy umysłowej lub artystycznej. Typ najemnego pracownika jakim w większości bardzo znacznej był pracownik umysłowy w samym swym określeniu wiąże się z pojęciem kapitalizmu. Istniejące w epoce wcześniejszej wynagrodzenia pieniężne za tego rodzaju pracę tyczyły się tak niewielkiej grupy ludzi, że nie stanowiły wyłomu w ogólnej strukturze społeczno - gospodarczej. Dopiero wówczas, gdy siła robocza (pojęta jako zdolność do pracy fizycznej i umysłowej) powszechnie nabrała charakteru towaru, wytworzyła się coraz liczniejsza kategoria tych, którzy ją sprzedawali. Nie tylko rozwijająca się produkcja przemysłowa wywołała bezpośrednie zapotrzebowanie na wolnonajemną pracę umysłową, — tę samą rolę odgrywał handel, komunikacja, finanse a także rozbudowująca się równolegle administracja państwowa, obejmująca coraz nowe dziedziny życia zbiorowego. Obok systemu najmu opartego o dwustronną, ustaloną z góry umowę, istnieje forma odmienna w postaci t.zw. wolnych zawodów.

Przekształcenia jakie zachodzą pod wpływem rozwoju kapitalizmu nie mają tylko charakteru ilościowego (t.j. tylko liczebnego wzrostu istniejących poprzednio grup pracowników), jednocześnie rozwój życia gospodarczego i nauki, ze wzrostem gwałtownym urbanizacji kraju powołuje do życia nieznane poprzednio zawody. Nowa struktura społeczeństwa kapitalistycznego wprowadza też zasadnicze zmiany w charakterze istniejących już dawniej zajęć i w socjalnej ocenie odgrywanej przez nich roli. Przekształcenia występujące w strukturze zawodowej pracowników umysłowych i społecznej hierarchii w ramach tej warstwy są następstwem etapu rozwojowego w jakim znajduje się społeczeństwo. W stosunkach polskich decydującą rolę odgrywają nie specyficzne cechy narodowe, lecz zapóźnienie w rozwoju kapitalizmu oraz układ stosunków politycznych. Przy dzisiejszym stosunku badań syntetyczne ujęcie tego problemu w oparciu o naukowo opracowany materiał statystyczny nie jest możliwe nawet dla terenu jednego zaboru. Ze względu na przodującą rolę Królestwa Polskiego w procesie rozwoju kapitalizmu na ziemiach polskich i specyficzną pozycję Warszawy w życiu politycznym doby porozbiorowej — od tego miasta, jak się wydaje, należy rozpocząć badania. Obecne zasoby naszych archiwów, które wojna zubożyła w najcenniejsze dla omawianego zagadnienia zespoły (jak na przykład akta Komisji Emerytalnej Królestwa Polskiego, akta Heroldii Królestwa, listy stanu służby urzędników władz centralnych, akta Rady Lekarskiej i Rady Budowniczej itp.) narzucają charakter pracy z konieczności fragmentaryczny i oparty na materiale źródłowym w normalnych warunkach zupełnie drugorzędnym.

Podane niżej uwagi zawierają próbę charakterystyki struktury zawodowej pracowników umysłowych Warszawy w latach reform Komitetu Uwłaszczającego. Jest to moment przełomowy w rozwoju kapitalizmu polskiego i decydujący dla ukształtowania się położenia politycznego Królestwa—a tym samym niezmiernie doniosły w dziejach omawianej warstwy społecznej.

Wszystko stracone

Na przełomie lat 60-tych i 70-tych ubiegłego stulecia Warszawa skupiała 29% ludności miejskiej całego Królestwa — jest prawie pięciokrotnie większa od Poznania, a nieco więcej niż pięciokrotnie od Krakowa i Łodzi. W skali stosunków polskich urasta do poziomu dużego miasta. Lecz są to lata, w których Warszawa stoi dopiero u progu rozwoju wielkokapitalistycznego przeżywając wraz z resztą kraju ostry kryzys gospodarczy. Przeprowadzone uwłaszczenie włościan i konfiskaty popowstaniowe podkopały materialną egzystencję bardzo znacznego odłamu warstwy szlacheckiej. Siła nabywcza głównego dotąd odbiorcy towarów na rynku wewnętrznym musiała znacznie osłabnąć To też w latach 1867—9 wartość produkcji przemysłowej Królestwa spadła o 25%, a ilość robotników zmniejszyła się o 38%. Uległ całkowitemu zahamowaniu ruch budowlany w Warszawie, gdzie w 1868 r. wzniesiono zaledwie 5 domów murowanych (podczas gdy w 1866 r. zbudowano 107). Jednocześnie jednak wzrasta gwałtownie ludność miasta, do którego napływa, obok uwolnionego od pańszczyzny chłopa, zbankrutowana szlachta. To też okres kryzysu 1867—9 jest szczególnie ciężki dla kategorii pracowników umysłowych i licznych rzesz ludzi, którzy poszukują tego typu zajęcia — tymbardziej, że równocześnie zamknięty został dostęp do kariery urzędniczej.

Kawiarnia na Starym Mieście

Skupiła się wówczas w Warszawie niezmierna ilość ludzi „spadłych z urzędu, szukających zajęcia i zarobku, młodzieży bez pracy i kariery, obywateli ziemskich zniszczonych i wydziedziczonych, zgoła ubóstwo materialne", pisze o owych latach A. Zalewski. W tych warunkach zrujnowana uwłaszczeniem szlachta, zesłańcy masowo przybywający do Warszawy chwytają się z musu każdej pracy byle choć trochę zarobić. Jedni jak Limanowski, który po powrocie do kraju zarabiał piłowaniem żelaza przez dziesięć godzin dziennie w fabryce narzędzi, zdołają z czasem przejść do kategorii pracowników umysłowych, inni znikną w masie proletariatu miejskiego. Jednocześnie już od roku 1867 rozpocznie się emigracja z Królestwa ludzi o wyższym wykształceniu.

Liczebność grupy czynnych zawodowo polskich pracowników umysłowych Warszawy w omawianym okresie możemy w przybliżeniu obliczyć na podstawie Przewodnika Warszawskiego Informacyjno - Adresowego na rok 1869 i 1870, ułożonego przez W. Dzierżanowskiego, (naczelnika Wydziału Inform. - Adres. Zarządu Warsz., Ober - Policmajstra). Przewodnik ten zawiera imienny spis ludności Warszawy (z wyj. ludności wyrobniczej) z zaznaczeniem sprawowanego zawodu. Obliczona na tej podstawie liczba pracowników umysłowych Warszawy w 1869 r. wynosiła 5.700 osób, co wraz z ich rodzinami stanowiło około 8,5% ogółu mieszkańców.

Z tej liczby 5.700 ludzi — 52% (t.j. 2.985 osób) zatrudnionych było w administracji państwowej; w instytucjach i przedsiębiorstwach gospodarczych pracowało — 15,2% (867 osób), w oświacie — 10,8% (616 osób); sztuka i literatura dostarczała zatrudnienia — 9,1% (521 osób); służba zdrowia obejmowała — 6,3% (356 osób); palestra — 3,8% (221 osób); duchowieństwo — 2,3% (134 osoby).

W zależności służbowej od instytucji państwowych znajdują się nie tylko pracownicy wymienieni w pierwszej kategorii, ale i w prawie wszystkich następnych, liczba osób utrzymujących się z pensji rządowej wynosiła przeszło 70% ogólnej liczby. Tymczasem właśnie na tym terenie stosunki kształtowały się szczególnie niekorzystnie, gdyż w następstwie zmian politycznych zamknęły się możliwości obejmowania wyższych stanowisk, a jednocześnie bardzo poważna ilość osób utraciła zajęcie (około 750 osób). Tworzą się wprawdzie nowe, niższe hierarchicznie kategorie pracowników państwowych, nie wyrównywuje to jednak poniesionych strat. Przeciętny poziom wykształcenia i stopy życiowej świata urzędniczego uległ po roku 1864 znacznemu obniżeniu.

Przemysł, handel i budownictwo zatrudniało zaledwie 8% pracowników, co jest jaskrawym następstwem zacofania gospodarczego Królestwa Polskiego. W r. 1871 istniało w Warszawie zaledwie 25 przedsiębiorstw przemysłowych o liczbie robotników większej niż 50-ciu. (Ilość osób pracujących w tej dziedzinie jako pracowników umysłowych niepolskiej narodowości jest tak znikoma, że nie zmienia ogólnego obrazu). Administracja rozbudowujących się dróg żelaznych dostarcza zajęcia 3,8%, ten sam odsetek obejmował urzędników Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego oraz agronomów.

Następną pod względem ilościowym grupę (po pracownikach związanych

Józef Wodziński — w cyrku

z życiem gospodarczym) stanowi nauczycielstwo — od nauczycieli szkół elementarnych począwszy, a skończywszy na wykładowcach Szkoły Głównej. W szkolnictwie rządowym sytuacja przedstawiała się równie niekorzystnie, jak na terenie pracy administracyjnej — lecz w następstwie stosunków politycznych znaczną przewagę mają nauczyciele prywatni. Charakter ówczesnego wychowania znalazł swój wyraz w specjalizacji nauczycieli prywatnych według przedmiotów przez nich wykładanych. Śpiewu i muzyki naucza 55% ogółu tych nauczycieli, nauk humanistycznych 27%, matematyczno - przyrodniczych zaledwie 4%. Wśród nauczycielstwa przedmiotów humanistycznych ogromną przewagę (40%) mają osoby uczące języka francuskiego. To też B. Prus w jednym ze swych artykułów pisze: „na miłość Boską! inaczej wychowujmy dzieci, aniżeli wychowywano nas... nie uczmy ich: tańca, fortepianu, pronuncjacji, rozmawiania z damami i tym podobnych błazeństw"... ciągle jeszcze bowiem te właśnie elementy odgrywały w wychowaniu rolę bardzo poważną.

Nie wydaje się jednak, by charakter nauczania prywatnego wynikał wyłącznie z konserwatyzmu społeczeństwa. Pewną rolę musiał tu odgrywać niewątpliwie fakt, iż adeptom muzyki i śpiewu łatwiej było znaleźć pracę w rozbudowujących się teatrach warszawskich, niż absolwentom wyższych uczelni.

Teren pracy artystycznej, głównie aktorskiej dostarczał bowiem zatrudnienia znacznej liczbie osób. W teatrach rządowych i prywatnych teatrzykach warszawskich występowało prawie 400 aktorów, choć dolna skala płac była tu niesłychanie niska, istniała jednak dla zdolnych jednostek szansa awansu, a dla każdego możliwość innych dodatkowych zajęć i, co za tym idzie, dodatkowych zarobków. Wielka popularność, jaką ze względów patriotycznych cieszyły się teatry ułatwiała zrobienie kariery na tym właśnie terenie.

Wśród świata artystycznego grupę uprzywilejowaną stanowili malarze cieszący się moralnym i materialnym poparciem sfer wyższych. Zubożenie dotychczasowego głównego odbiorcy; jakim była arystokracja, wywołało konieczność szukania nowych rynków zbytu dla twórczości artystów - plastyków. Rezultatem tej tendencji jest powstanie i działalność Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych organizującego wystawy, konkursy, losowanie dzieł sztuki. Jednocześnie w omawianych latach otwierają się nowe źródła dochodu, a jest nimi ilustracja rozwijającego się właśnie czasopiśmiennictwa. Prasa stanowi też główną podstawę finansową nielicznej grupy 40-tu literatów i dziennikarzy.

Wolne zawody, jak lekarze, aptekarze, adwokaci, w mniejszym stopniu niż świat urzędników, pracowników przedsiębiorstw gospodarczych i nauczycieli, odczuły następstwa kryzysu ekonomicznego i politycznego. Szybki wzrost ludności Warszawy sprzyjał zarobkom w tych dziedzinach.

Struktura zawodowa pracowników umysłowych Warszawy pozwala na stwierdzenie pewnych, charakterystycznych cech „inteligencji" Warszawy w latach 70-tych ub. wieku. Rzuca się w oczy zjawisko typowe dla omawianego okresu — bardzo nieznaczny odsetek kobiet zatrudnionych wyłącznie jeszcze w zawodzie nauczycielskim i aktorskim. Ustawodawstwo ówczesne zabraniało im jeszcze pracy na terenie administracji państwowej. Ogół pracowników umysłowych charakteryzuje się rozpiętością posiadanego wykształcenia, — daleko idącymi różnicami w położeniu materialnym oraz w pozycji społecznej przedstawicieli poszczególnych zawodów. Wykształcenie pracowników umysłowych wahało się od szkoły elementarnej (niższe nauczycielstwo, część aktorów) do studiów wyższych (które posiadali lekarze, znaczny odsetek palestry, malarzy, nauczycielstwa, część urzędników państwowych i kilku literatów). Ogólna liczba osób posiadających ukończone wyższe uczelnie przekraczała cyfrę 1000 osób, lecz nie sięgała przypuszczalnie 2.000. Reszta pracowników posiadała jedynie wykształcenie średnie, lub elementarne. Uposażenia i dochody wahały się od 150 rubli u bardzo wielu do 5.000 rubli i więcej dla nielicznych wyjątków. O ciężkim położeniu materialnym większości pracowników mówi powszechne wśród sfer urzędniczych zadłużenie i ciągłe wzmianki o trudnej sytuacji finansowej. W następstwie tych różnic wykształcenia i położenia materialnego, a także pod presją dawnych poglądów o szlacheckości jednych zawodów, a o pogardzie dla innych wytwarzała się w ramach warstwy pracowników umysłowych wewnętrzna hierarchia społeczna.

Nie jest ona jednak wyraźnie i trwale ustabilizowana — przeciwnie, przez cały wiek XIX hierarchia ta ulega stopniowym, lecz istotnym zmianom w następstwie przekształcających się poglądów na rolę i znaczenie poszczególnych zajęć.

Stosunki panujące na rynku pracy umysłowej i odpowiadająca im struktura zawodowa pracowników wynikają jak o tym była mowa, z zacofania gospodarczego Królestwa i jego położenia politycznego. Słaby rozwój kapitalizmu sprawił, że znikomy odsetek ogólnej liczby zatrudnionych stanowią przedstawiciele nowych, nieznanych ustrojowi feudalnemu zawodów. Do tej kategorii należą przede wszystkim pracownicy rozbudowującej się komunikacji kolejowej, a następnie telegrafiści. Jeden tylko chemik i to przypuszczalnie Niemiec reprezentuje techniczne wykształcenie związane z produkcją fabryczną. Kierowników fabryk (nie będących ich właścicielami) jest zaledwie kilkunastu. Inna kategoria nieznanego poprzednio zawodu — to literaci, gdyż honoraria autorskie rozpowszechniają się dopiero w połowie XIX w. — oraz dziennikarze. Omawiany okres stanowi dopiero kształtowanie się pojęcia fachu dziennikarskiego. „Dziennikarstwo się ożywiło, ale dziennikarzy jeszcze nie było" pisze o latach 70-tych ub. wieku Feliks Fryze założyciel Kuriera Porannego. Choć w Warszawie wychodzi w r. 1869 28 pism, dziennikarzy jest tylko 20-u. Praca w redakcjach miała charakter dodatkowego zajęcia często bepłatnego. M. Ilnicka, redaktorka „Bluszczu" figuruje w spisie Dzierżanowskiego jako nauczycielka, Z. Zaborowski redaktor Kuriera Warszawskiego w latach 1863—7 jest jednocześnie referentem w Radzie Stanu. Starszą tradycję ma praca sceniczna, gdyż stan zawodowych aktorów wytworzył się w końcu w. XVIII.

Opóźnienie w rozwoju gospodarczym ziem polskich nie mogło jednak zahamować wyraźnego od końca w. XVIII kształtowania się elementów kapitalistycznych. Pod ich wpływem zmienia się również charakter pracy umysłowej i form jej wynagradzania na terenie wszystkich niemal zawodów.

Administracja Księstwa Warszawskiego, zrywając całkowicie z dawną formą uposażenia w ziemi, lub płynących z niej dochodów, wprowadziła jako powszechną zasadę pieniężne pensje stanowiące wynagrodzenia urzędnicze. Stale rozszerzające się funkcje państwa spowodowały bardzo znaczny wzrost liczebny grup urzędników. Ustawy o służbie cywilnej normują ich prawa i obowiązki, a jednocześnie stawiają określone wymagania od kandydata pragnącego objąć pracę. Wymagania te usuwają kryteria przynależności stanowej — na korzyść wykształcenia. Przejęcie przez państwo kierownictwa oświaty zmieniło bakałarza, który uczył dowolnie tego, co sam umiał, w nauczyciela o kwalifikacjach coraz dokładniej prawami określanych.

Rozwój nauki przekształcił dawnych rzemieślników w poważnych przedstawicieli wolnych zawodów. Lekarz o wyższym wykształceniu już w początkach XIX w. zajął miejsce cyrulika. Natomiast rzemieślniczo - kramarski charakter zawodu aptekarza utrzymał się do końca XIX stulecia. Sposób nauki, stopnie aptekarskie, stanowiły żywą jeszcze pozostałość ustroju cechowego.

Inżynier, który w początkach XIX w. zajmował się „sztuką fortyfikacyjną", stracił stopniowo swój militarny charakter. W omawianym okresie inżynierowie, (których wykształcenie poza gimnazjum i praktyką opierało się na samouctwie) pracowali przy budowie dróg i mostów, przy robotach melioracyjnych itp.

W następstwie powstawania nowych zawodów i przekształcania się charakteru poprzednio wykonywanych zajęć, a przede wszystkim pod wpływem liczebnego wzrostu kategorii pracowników utrzymujących się wyłącznie z pracy umysłowej zaczyna się kształtować nowa warstwa społeczna, którą od lat 60-tych ub. stulecia coraz częściej zaczęto nazywać „inteligencją miejską". Dążyć ona będzie do zdobycia poważania społecznego opartego o szacunek dla tych wartości, które sama reprezentuje: pracy umysłowej i wykształcenia. Te nowe kryteria zwalczały z trudem dawne poglądy o ocenianiu człowieka według przynależności stanowej.

Postęp gospodarczy przekształcił feudalną hierarchię socjalną w kierunku klasowyego społeczeństwa epoki kapitalizmu. Przynależność do warstwy szlacheckiej traciła swe pierwotne znaczenie. Sprawowanie określonego zawodu, oparte o posiadany zasób wiedzy kształtowało społeczną ocenę jednostki.

Budził się bunt przeciwko szlacheckim wzorom — szlacheckiemu światopoglądowi, a jaskrawym przejawem tego buntu stał się warszawski pozytywizm.

Janina Leskiewiczowa

(Dokończenie ze str. 4)

skrzyni u babci!" — domyśliła się jedna z sióstr. Ale te właśnie nie były cenione.

Dlaczego wzory dzisiejsze są gorsze od starych? To, że wzory są tradycyjne — jest niewystarczające. Musi być zgodność motywu z techniką, co charakteryzuje wyroby stare. W starych tkaninach wełna była przędzona ręcznie. Czuło się żywość i piękno techniki ręcznej. Ale propozycje nawrotu do starego były dla tych sióstr - konserwatystek — rewolucyjne!

Pojechałam wobec tego do Janowa. W rozmowie z Adolfem Jaroszewiczem wyłuszczyłam mu swój punkt widzenia, że kobiety wiejskie mogłyby robić na prawdę piękne rzeczy. On zaczął to „chwytać". Jak gdyby dopiero teraz począł rozumieć siebie samego. „Wie pani, ja sam nieraz, patrząc na stare dewki, którymi nakrywano u nas konie, myślałem, że o ileż one są ładniejsze od tych, wzorowanych na fabrycznych..."

By zmusić ich do nowej techniki, przywiozłam z sobą wełnę ręcznie przędzoną, grubą i nierówną, bo taką nie da się odetkać głupiego wzoru. Było rzeczą niesłychanie żmudną z tego rodzaju wełny założyć osnowę. Rwała się ona niezliczoną ilość razy. Wspólna praca nad jej wiązaniem... nawiązała między nami nici porozumienia.

Tak więc wspólnie przystąpiliśmy do tkania pierwszego dywanu. Jaroszewicz posłusznie wykonywał moje wskazówki, ale budziły się w nim wątpliwości: „Taki jakiś śmieszny dywan pani chce robić" — mówił. A żona jego uciekła do matki, do Wasilówki, w obawie hańby, która okryje ich dom. Lecz w miarę, jak zaczynały się wyłaniać drzewka wzoru, zastrzeżenia Jaroszewicza pierzchały.

„Zdaje się, że pora zaczynać od motywu „zwierza" — powiedziałam. — Nie zwracał na to uwagi. Wobec tego powtórzyłam nieśmiało: „Na mój rozum trzeba zwierza zaczynać od nóg". Milczał. Więc ja znowu swoje. „Nie od nóg. Od pazurów!" — powiedział z naciskiem...

— Kiedy miałam odjeżdżać Jaroszewicz nadmienił, że można wzór dywanu zrobić na papierze kratkowanym. Myślał, że to będzie dla mnie objawieniem. Byłoby to jednak zahamowaniem jego inwencji twórczej, więc powiedziałam tylko: „O, nie ma tak dobrze!". Żonie jego, Alicji, ten pierwszy dywan ogromnie się spodobał. Nieraz jakiś dywan zaczynał mąż, ona zaś kończyła, bo mu — człowiekowi choremu — cierpliwości nie starczało.

— Po wojnie Ministerstwo Kultury i Sztuki (Biuro Nadzoru Estetyki Produkcji) zaproponowało mi wznowienie tej pracy i do ostatnich czasów dywany były robione na potrzeby ministerstwa. Wysyłano je zagranicę na wystawy i pokazy sztuki ludowej. Tkactwo się rozwijało. Tkaczki doprowadziło się do właściwej oceny „starego". Min. Kultury i Sztuki rozumiało, że tkactwo jest ważne dla kultury narodowej, w Ministerstwie Przemysłu natomiast zdaje się panować pogląd, że rękodzieło tego typu nie jest ważne. Jedynie przemysł fabryczny... Tkaczki pozostawiono własnemu losowi.

Mam świadomość, do której doszłam latami pracy, że umiem w tych ludziach dostrzec i wydobyć z nich wartości, których oni sami nieraz nie dostrzegają. Staram się dociec do ich najistotniejszego stosunku do sztuki. Moje z nimi rozmowy o sztuce są tak samo poważne, jak z kolegami-malarzami w Akademii Sztuk Pięknych, tylko że używam prostszego języka.

— Konkretnie jednak biorąc: jaką korzyść mają z tego wyrabiania dywanów chłopi?

— Jeżeli na te dywany mogą prząść i farbować swoją wełnę, to mają z tego bardzo wielką pomoc. Zresztą następuje nie tylko regeneracja dywanu, lecz także zmysłu estetycznego. Do wielkich sukcesów zaliczam powrót w tej dziedzinie do barwników naturalnych. Kiedy tkaczka barwi wełnę koszenilą, brzozą, kruszyną, olchą, indygo i następnie rozwiesza dla przesuszenia pasma wełny na płocie — widzi jak ta wełna gra, ożywiając w niej inny zmysł: kolorystyczny. Oni się przyzwyczaili żyć odpadkami kultury burżuazyjnej. Trzeba im dać możność porównania celem stwierdzenia lepszego poziomu sztuki własnej.

Widzę przyszłość w tym, by tak pięknie odradzająca się sztuka ludowa nie zaginęła z krzywdą nas wszystkich...

Maciejewski Jerzy

Mikołaj Gribaczow — *Wiersze z Bułgarii*

W gospodzie

Jest w dymie papierosów,
który nade mną leci,
i chłód porannej rosy
i żółć rodopskiej spieki,

pod ciosem błyskawicy
jest ciepłe drżenie wody
i znów widzimy gwiazdy
płynące nad gospodą

A w bieg rozmowy prostej,
toczącej się bezszumnie
wiatr z gór posępnych wnosi
piołunu pjaną żółtość

I opaliwszy skrzydło
o pierworodną zorzę
woń oliw tessalijskich
uderza nagle w nozdrza

Stukają w bruk obcasy
i dźwięczniejącym echem
głos dulek leci senny
pomiędzy wyspy rzeki...

Lecz ja — z mgły topniejącej,
poprzez znużenia dreszcze —
gwizd szczygłów słyszę naszych
w konopiach podmoskiewskich.

Bułgaria, 1947, z tomu „W marszu".

Pod Plewną

I spłonął dzień, i minął deszcz,
na słonecznikach rosa
i północ w aksamitny wór
zebrała ptasie głosy,

rzuciwszy księżyc za się wstecz
gra świętojańskim ogniem siół
i tylko jeszcze szumi las
jak senny rój zielonych pszczół.

I tylko gospodarski traktor
wcinając w trawy blask ukośny
przewraca ziemię aż do rana —
prawie jak u nas, koło Moskwy

Więc może tylko traktorzysta,
jeszcze nieśmiały chłop,
włos ma mniej jasny, głos mniej czysty
i mowę różną — o źdźbło...

Bułgaria 1947 z tomu „W marszu"

Tłumaczyła JANINA PREGEL

JÓZEF OZGA-MICHALSKI

PIERWSZA RADA*)

Na chłopskim podwórzu we wsi Czerwona Gajówka, pod niewielkim miasteczkiem Stopnicą, jest dzisiaj rojno. Odbywa się właśnie odprawa zakonspirowanych polityków i wojskowych. Beczułka z wodą, ustawiona na murawie, w cieniu wiśni wyschła do dna od nadmiaru gorączki, jaka ogarnęła głowy mówców. Chodzą oni z pozawijanymi rękawami od koszul, jakby brali udział w zapasach, marynarki wiszą na gałęziach drzew, lub porzucane, leżą na łączce. Działacze dyskutują zawzięcie, to rozłażą się, to schodzą do kupy, jakiś chłop z gorącymi wypiekami na policzkach krzyknął w twarz dwum ubranym z waszecia jegomościom.

— Jesteście stare sanacyjne byki, nie będziemy was trzymać przy żłobach!

Ale ci dwaj nie milkną, nie wycofują się z zajętego stanowiska. Trzymają, zdawałoby się chłopa Grabkę za jego rozłożyste wąsy i wyrzucają z gardła jak z kulomiotu argumenty w jego uszy.

Beczkę odwrócono do góry dnem, chłopaki z wiaderkami konęli się po wodę do rzeki. Na beczkę wgramolił się mały, pękaty człowieczek z czarnymi wąsami, średniej wielkości, o powierzchności przystępnej i niegłupiej.

Chłopi, kręcący sie po podwórzu, a było ich ponad setkę otoczyli kazalnicę.

Ów człowiek stojący najwyżej, wzniósł się na ich głowy, najpoważniej w świecie rozpoczął agitować chłopów przeciwko ich własnym interesom.

Profesor prowincjonalnego uniwersytetu (tytułem profesora obdarzano go wszędzie), o sławie historyka uchodził w owej okolicy za wtajemniczonego we wszystkie arkana polityki ukrytej przed oczyma śmiertelników. Mówiono o nim, że głowę ma wytrzymałą na wszystko, zadzierał ją wysoko jak ten, który patrzy dalej i widzi więcej. Swoje wystąpienie rozpoczął od motywacji, dlaczego zwołano zgromadzenie i skąd on sam zjawił się na zebraniu chłopskim.

— Proszono mnie, abym wyjaśnił sytuację, proszono mnie abym wam powiedział co myślę.

Jestem starym ludowym działaczem, jadłem gorzki chleb opozycji. Sanacja prześladowała mnie przed wojną. Znam wasze sprawy, bowiem chłopski syn jestem...

— Gadaj co teraz robić, jak żyć, kogo się trzymać — wrzasnął spod szopy Rzepka.

— Nie przerywać — podniosły się z różnych stron głosy.

— Niech nam wyjaśnia, kiedy wylazł tak wysoko...

Profesor niespeszony zaczepnym pytaniem Rzepki wyjaśniał rzecz dalej:

— Wojna ma się ku końcowi, widzimy to wszyscy. Rosjanie idą do Wisły, nieszczęściem jest dla nas, że to nie Anglicy idą z zachodu do Wisły, a bolszewickie plemię nastaje na nasz kraj...

—Ejże! — poderwał się Grąbka. — Mylicie się profesorze, widać nie wyliczyliście se w notesie dat i terminów!

— Zachowajta chłopy trochę kultury — przemówił grubym basem młynarz ze Wschodniej.

Profesor Sarkacz przezwyciężył gwar podniesiony na placu i rozpoczął ostry, krzykliwy atak na wszystko co radzieckie.

— Dziejową misją chłopskiego wojska, naszych batalionów, będzie, jak kiedyś, zahamować czerwony pochód, a było już tak raz za kuma Witosa...

Niedoczekanie wasze! Skurczybyku endecki judzić chłopów przeciwko Rosji.

— Odebrać głos!

— Ściągnąć go z beczki!

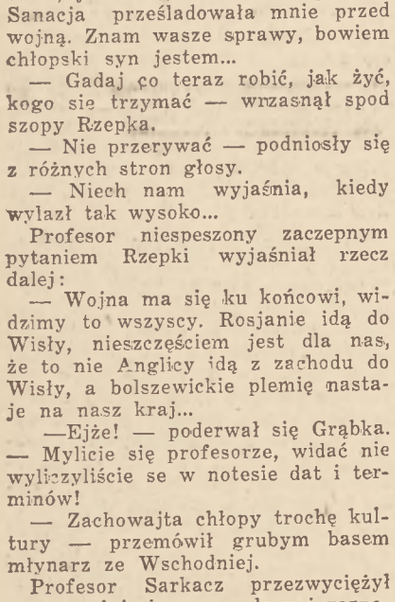

rys. Stefan Gierowski.

Pojedyńcze głosy protestu zrywały się raz po raz, mówca nie dawał za wygraną, piał głośnym dyszkantem swoją prowokacyjną litanię oskarżeń i chwiał się pod uderzeniami odpowiedzi, którymi strzelali w niego chłopi z dołu. Ludzie siedzący dotąd na wozach i bryczkach poczęli zbliżać się do koliska i przyłączali się do rosnącego zgiełku. Nie wszyscy wiedzieli, kto ma rację, wielu uczestników wiecu teraz dopiero przystępowało do sprawy zanurzając głowy do kipiącego swarem kotła. Niektórzy pozostali przy koniach zagryzali kiełbasę i częstowali się samegonem.

— Eh, co tam, poprztykają się i rozjadą do domów.

— Głodne ciortostwo i gryzie się...

— Prawda jest, jakby to było po obiedzie, zarazby gadali inaczej.

Podwodnicy dosypywali koniom sieczki, siadali na wiązkach słomy i pogodnie spoglądali na rozpalony walką tłum.

W momencie, kiedy Sarkacz utknął w środku zdania, zachrypnięty od nadmiernego wysiłku, na podwórzu pajawił się powiatowy komendant Batalionów Chłopskich z paroma ludźmi.

Ów komendant nazywał się konspiracyjnie Trębacz i był podporą polityki Sarkacza. Ważył około 100 kg., miał wyraz twarzy surowy i groźny w każdej okoliczności. Ludzie jego nosili broń, zatkniętą za pasem i teraz stanęli w wyczekującej postawie, zajmując miejsce przy płocie. Profesor spojrzał na komendanta, i Trębacz zrozumiał w jak ciężkiej sytuacji jest mówca. Delegaci konferencji inaczej niż zwykle powitali przybycie dowódcy. Nie rozsunęli się przed nim. Komendant stał na środku podwórza, wszystkie oczy ciekawie zwróciły się na niego. I mówca urwał w pół zdania zawisł spojrzeniem na przybyłym. Wtedy od gromady oderwał się wysoki, prawie dwumetrowy Bechowiec Białas i szerokim krokiem podszedł do komendanta.

Widocznie przywitają się. Białas to jego adiutant. W tym momencie dzieje się coś niezwykłego. Olbrzymi chłop wysunął zamaszystym pchnięciem swoje metrowe ramię i uderzył z całych sił stojącego na środku przywódcę.

— Tyś wydał w ręce narodowców najlepszych towarzyszy, tyś mojego przyjaciela Gaika zawyrokował na śmierć.

— Ten zdrajca Sarkacz, który okrada Żydów w Stopnicy i przepija wyłudzone od nich pieniądze w przydrożnych karczmach, przyszedł uczyć nas pacierza nienawiści do chłopów rosyjskich i odprawia tu swoje nieszpory na intencję burżujów i obszarników!

Po tych słowach wypowiedzianych przez Białasa, na nowo zawrzało.

— Należy zrzucić go z mównicy i nauczyć rozumu!

— Do gnojówki obydwu!

— Panki w chłopskich piórkach!

— Jeszcze raz chcą nas uszukać jak w dwudziestym roku.

Wrzało na dobre.

Białas zamierzał wprost na mówcę. Tłum rozstępował się przed młodym partyzantem, ludzie znali krzywdę, która pchała Białasa do zdecydowanego czynu. I tylko najbardziej obcy i zaprzedani ludzie nie podzielali jego stanowiska, lecz i oni woleli milczeć w takiej chwili.

— Złaź durniu!

Sarkacz opuścił swoje miejsce, kolana gięły się pod nim. Zwolennicy zdetronizowanego mówcy, a można było ich policzyć na palcach — nie protestowali. Partyzant Białas to człowiek, który pierze hitlerowców, wymierza sprawiedliwość dworom, i który żyje z ludźmi po przyjacielsku.

Białas, który zapanował nad tłumem delegatów, stanął na stopniach bryczki. Oczekiwano co powie i jak on z kolei wyjaśni sprawę. Zapanowała cisza.

Przerywało ją parskanie koni żrących obrok, przemieszany owsem. Od bliskiej sośniny ciągnęło rozgrzane powietrze, ludzie pili go do głębi płuc, jak złoty miód. Za stodołą w wysokiej topoli zwisał nad podwórzem na wyciągniętej, długiej szyi rozdziawiony w klekocie czerwony dziób bociana. Białas popatrzył gdzieś daleko w pole, w łąki, przymrużył oczy i trzymał je utkwione w daleki punkt. Zastanawiał się, czy ma powiedzieć wszystko co wie, czy też nie wyjawiać całej prawdy.

— Wszystko powiem jak jest. My tutaj musimy przegnać od siebie złego ducha. Zapisaliśmy się do organizacji, należymy do Batalionów Chłopskich, a co się dzieje? Mówili, że będziemy bez obszarników, mówili, że Niemców będziemy bili najwpierw, a potem chajda ze dwora, powiemy Popielom, Oleśnickim. Co się dzieje? Profesor chodzi po knajpach ze szlagonami, toście widzieli prawda?

— Prawda! — odkrzyknęli chłopi.

— Trębacz, ten znowu parę dni temu wpisał nas ostatecznie do Armii Krajowej, a w tej armii sama sanacja, a teraz dochodzi jeszcze NSZ, prawda?

— Prawda! — powtórzono za nim.

— Naszych chołpaków, co gonili stąd narodowców pozwolił Trębacz zastrzelić — jak oni to mówią — **zaakceptowano** wyrok.

— Widzieliście ich z odrąbanymi głowami pod kościołem w Balicach z napisem, że każdego Bechowca, któryby chciał iść ich śladami czeka podobny koniec!

— Hańba takim przywódcom, co nas jak owce oddają pod nóż!

— My się chcemy bić, nie sprzedawać, chcemy iść za sprawiedliwość, a takich co idą przeciw, prać!

— Ja widzicie myślę, żeby dzisiaj zwalić zgniłych komendantów, żeby odrąbać od zdrowego to, co chore i wybrać ludzi, co nas nie będą sprzedawać!

— Racja! Wybrać nowych! — zawrzało w Kole delegatów.

— Wczoraj — ciągnął Białas — naradziliśmy się ja, Zawierucha, Górka, Grabka, Majka, Patrzałek i paru innych nad tym, jak rozerwać te stare więzadła, którymi nas omotują i jak się wziąć do nowego.

Jest wyjście, zaraz powiem.

Pół roku temu powstała Krajowa Rada Narodowa. W tej Radzie są robotnicy i chłopi, ale nie ma w niej obszarników i kapitalistów.

Jak myślicie, dobra jest taka rada?

— Dawać ją tu!

— Załóżymy i u nas!

— Acha! — zawołał Białas — więc zgoda?

— Zgoda!

— Zakładać Radę!

— Dobrze niech dokończę, co zacząłem. Idzie o to, że robotnicy mają Gwardię Ludową, a my Bataliony Chłopskie. Ludowcy razem z PPR-owcami postanowili zorganizować wspólną Armię Ludową. Ta Armia ma bić hitlerowców, gdzie popadnie, nie jest ona po to, aby prowadzić wojnę między sobą, domową wojnę.

Jej główne zadanie to bić faszystów, jakby zaś i akowcy chcieli stanąć przy nas i razem z nami łupać faszystów — to i oni mogą się do nas przyłączać.

Teraz tak, jak powołamy Powiatową Radę Narodową, to stworzymy i Armię Ludową, która tej Radzie ma podlegać, a komendant tej Armii na obwód powiatu zostanie członkiem Rady, zgoda?

— Zgoda!

— To jest Demokracja!

— Na koniec — powiem wam — wyjaśniał Białas, — że Krajowa Rada Narodowa pragnie przyjaźni ze wszystkimi narodami, a przede wszystkim z rosyjskim narodem, który grzmoci faszystów niemieckich i niesie dla nas wyzwolenie z kajdan.

Tłum delegatów ciasno otaczał mówcę.

— A rebelia ludowa będzie? — zapytał czarny przysadzisty chłop, który wyglądał jak słup milowy, przydrożny, wbity od lat w ziemię.

— Rebelia? — powtórzył Białas — zdaje mi się, — rzekł patrząc mu prosto w oczy — że dawniej, gdyśmy byli ciemni i gdybyśmy nie mieli ni programu, ni organizacji — były rebelie, teraz pomaszerujemy do walki zorganizowanej i będziemy ją prowadzić aż do wytępienia zła!

— Acha — odrzekł ów, który postawił pytanie.

— Czy ktoś tutaj z obecnych chce się jeszcze o coś zapytać?

— Rozumiemy! Rozumiemy!...

— Wobec tego zacznijmy wybory.

Białas zeskoczył z bryczki i wstąpił w ciasne koło delegatów gminnych. Rozpoczęły się rozmowy i narady.

Nie trwały one długo. Po jakimś czasie wystąpił ów czarny, przysadzisty chłop i zgłosił listę władz.

— Na przewodniczącego powiatu proponuje się Górkę Józefa, na komendanta powiatowego Armii... naszej, Ludowej, aby się z robotnikami złączyła i zrosła — Białasa... A do Rady Powiatu wszystkich tych, cośmy ich typowali u siebie po gminach na wójtów jak niepodległość przyjdzie. — Tu wymienił kilkanaście nazwisk po kolei.

— Kto jest za tym?

Las rąk uniósł się w górę, moc biła z tych twardych, sękatych, spracowanych dłoni.

Józef Ozga-Michalski

*) Fragment z powieści „Ludowy Potok".

rys. Stefan Gierowski.

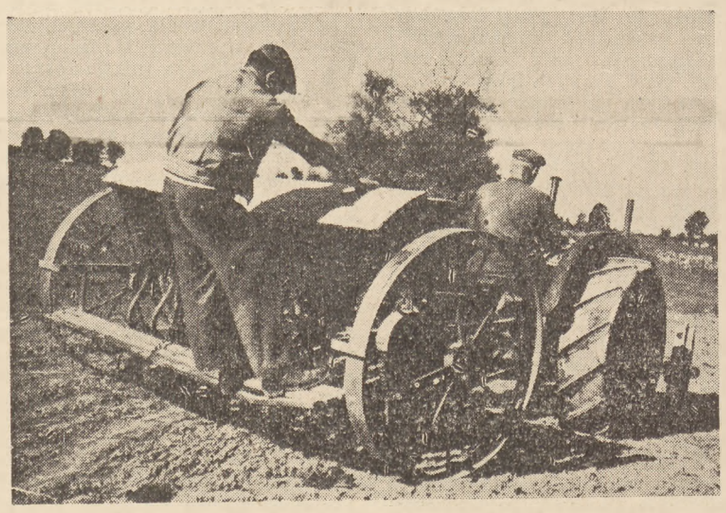

Marian Gajewski

Gospodarka planowa w Polsce*)

„Dla Lenina planowanie stanowi nieodłączną część składową dyktatury proletariatu, która z całym napięciem woli dąży do zwycięstwa socjalizmu nad kapitalizmem, do rozwinięcia twórczych zdolności milionowych mas, łamiących opór wroga klasowego i jego oportunistyczną agenturę wraz z jej tysiącami najpodstępniejszych form oporu" pisał W. Kujbyszew w artykule „Lenin i Stalin o planowaniu socjalistycznym" (I Zeszyt ekonomiczny „Nowych Dróóg"). Słowa te można uznać za główną wytyczną ostatniej pracy St. Cieślaka „Gospodarka planowa w Polsce" — wytyczną pracowicie i konsekwentnie zrealizowaną.

Po objaśnieniu w I rozdz. jasną i przystępną metodą słownikową wszystkich najważniejszych, podstawowych pojęć ekonomicznych w II rozdz. autor daje słuszną charakterystykę i należytą ocenę „planowości" kapitalistycznej z planem Marshalla na czele. Ukazuje wyczerpująco i dowodnie jej klasowy, antyludowy, antyhumanistyczny, imperialistyczny i wojenny charakter. Krótka analiza sytuacji gospodarczej i społecznej carskiej Rosji poprzedza opis przełomu dokonanego w życiu narodów b. imperium carskiego przez Rewolucję Październikową, a przede wszystkim ukazuje warunki, które umożliwiają prowadzenie rzeczywistej planowości w ogóle. Autor przy pomocy liczb i faktów unaocznia, że planowość ta jest pełna i konsekwentna, gdyż jest a) politycznie oparta o pełny rozwój wszystkich narodów Związku Radzieckiego, o prawdziwy internacjonalizm proletariacki niosący pomoc innym krajom, zdążającym do socjalizmu, b) społecznie wprowadzona przez klasę robotniczą wyłącznie na rzecz mas pracujących miast i wsi, c) ekonomicznie w oparciu o jedynie realną i postępową naukę ekonomiczną, rozwijaną w systemie stale posezrzonych i pogłębianych metod planowania.

Po omówieniu istoty podobieństw ustroju dyktatury proletariatu i form demokracji ludowej, znajdujemy w rozdz. III charakterystykę planowania gospodarczego w krajach demokracji ludowej a przede wszystkim w Polsce. Charakterystyka ta dokonana jest z pomocą analizy teorii tworzenia i rozdziału dochodu narodowego, przez wyjaśnienie sensu i celu sojuszu robotniczo - chłopskiego, przez uzasadnienie priorytetu przemysłu w okresie budowy socjalizmu — na tle sytuacji świata kapitalistycznego w fazie upadku imperializmu.

Na szerokim tle historycznym i porównawczym ukazuje się obraz gospodarki planowej naszego kraju we wszystkich dziedzinach jego życia od jej zaczątkowych form w 1945 r. do progu planu sześcioletniego. I trzeba tu z naciskiem podnieść: mimo, że wykład o planowaniu w rolnictwie, jest dla czytelnika najwartościowszy i najciekawszy, bo bodaj pierwszy raz w naszej publicystyce tak starannie i w całości przeprowadzony — również rozdziały dotyczące przemysłu i handlu, stoją na najlepszym poziomie opracowań w tej dziedzinie.

Poprzez ocenę położenia wsi Polski przedwojennej i opis przebiegu wielostronnych reform, dokonanych już w Polsce Ludowej otrzymujemy głęboką analizę obecnej sytuacji gospodarki rolnej na szerokim tle zagadnień walki o poprawę gleby, o zwiększenia urodzajności, o pomnożenie pogłowia zwierzącego, o mechanizację pracy, o wyższe formy organizacyjne — walki chłopa bezrolnego, mało i średniorolnego z klasą bogaczy wiejskich i ich popleczników — walki prowadzonej w sojuszu i przy efektownej pomocy robotników miejskich, partii i władz ludowych. Książkę zamyka opis pięcioletniej odbudowy kraju, a zwłaszcza wykonania planu 3-letniego, jako startu i przygotowania do planu 6-letniego, pierwszego wieloletniego zamierzenia narodowego zbudowania podstaw ekonomicznych i ustrojowych socjalizmu w Polsce.

Wobec zapowiedzi autora wydania II części omawianej książki, należy wyrazić życzenie, aby następna praca była równie wiel stronna i zagadnienia wsi stawiała na tak szerokiej platformie jak i pierwsza, oraz by uniknęęła podobnych usterek jak te, które trzeba będzie usunąć w drugim wydaniu I części, a mianowicie: przy charakterystyce imperializmu należy podawać więcej sformułowań klasyków marksizmu a zwłaszcza Stalina, charakterystykę planu Marshalla wypadnie uzupełnić nowymi materiałami, które przyniósł rok 1950 (kiedy książka już była w druku) zawartych m. in. w artykule min. S. Jędrychowskiego. Wreszcie należy usunąć kilka zbędnych powtórzeń.

W podtytule autor książkę swą nazywa „Wiadomości wstępne", jak gdyby przeznaczając ją na elementarz dla działaczy ludowych. Oczywiście stanie się ona napewno dobrym podręcznikiem dla działaczy i mniej wyszkolonych.

Zawdzięczając jednak staranności autora — zebraniu przez niego wielkiej ilości liczb i zestawień, niezbędnych dla zrozumienia procesów ekonomicznych oraz rozmyślnemu przytaczaniu dużych cytat klasyków marksizmu i kierowników naszego gospodarczego i politycznego — każdy działacz polityczny, członek partii, słuchacz szkoły wyższej czy samouk otrzymuje doskonały encyklopedyczny podręcznik dający komplet wiadomości o dziejach i obecnym etapie gospodarki planowej z szczególnym uwzględnieniem Polski.

W ten sposób książka ta bierze udział w ideologicznej ofensywie przeciw klasie wyzyskiwaczy, podżegaczom wojennym, oportunistom i wstecznikom, jest narzędziem słusznej walki klasowej jako instrument postępowego myślenia w dziedzinie ekonomii i polityki.

MARIAN GAJEWSKI

*) Stanisław Cieślak, „Gospodarka planowa w Polsce". Wiadomości wstępne. Str 196. Warszawa, 1950, nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej.

Edmund Niziurski

O powieści jeszcze nie wydanej

Powieść Józefa Ozgi-Michalskiego pt. „Ludowy Potok", której fragment drukujemy, pokazuje, jak rodziła się Polska Ludowa na wsi kieleckiej u schyłku okupacji. Tematem jej jest krystalizacja i pogłębianie się radykalnego, rewolucyjnego nurtu ruchu chłopskiego na platformie ideologicznej Krajowej Rady Narodowej w sojuszu z klasą robotniczą i w ostrej walce z odłamem prawicowym i faszystowskimi ugrupowaniami NSZ i AK.

W okresie tym toczy się w „podziemiu" polskim natężona walka polityczna o masy chłopskie. Bataliony Chłopskie łączą się z AL. Postępowym dążeniom mas chłopskich przeciwstawia się AK, która wyzyskując prawicowy odłam ruchu ludowego, usiłuje podporządkować sobie B. Ch. Widzimy tutaj okupacyjne początki późniejszej dywersji Mikołajczykowskiej. Sarkacz i Trębacz to ci zdrajcy ruchu ludowego, na których oparł potem swą działalność Mikołajczyk.

Znaczenie powieści podnosi fakt, że autor przedstawia tę walkę na konkretnym przykładzie terenowym — „od dołu" i „od wewnątrz", pokazując wyzwalanie się pracujących mas chłopskich spod wpływu obcych ideologii, oraz procesy budzenia się i narastania świadomości klasowej mało i średniorolnego chłopstwa.

Największą zaletą utworu jest, że pokazuje on rzadki dotychczas w naszej literaturze o ostatniej wojnie klasowy podkład ówczesnych zjawisk politycznych i ruchu partyzanckiego na wsi polskiej. Widzimy jak reakcyjne ugrupowania polityczne znajdują swe oparcie na wsi w bogaczach wiejskich, reakcyjnym klerze i ich poplecznikach. Dzięki tej klasowej interpretacji zjawiska te nabierają w ujęciu autora niezwykle jasnego wyrazu. Powieść demaskuje zdradziecką, zbrodniczą działalność NSZ i poszczególnych sfaszyzowanych ugrupowań AK oraz reakcyjną politykę tzw. rządu londyńskiego — na konkretnych terenowych przykładach, stanowiąc doskonałą ilustrację toczącego się niedawno procesu b. członków AK.

LUDOWY POTOK jest utworem dokumentarnym, opartym w przeważającej części na materiale autentycznym i na zdarzeniach prawdziwych, których autor sam był uczestnikiem. Zaważyło to między innymi i na formie utworu. Autorowi nie powiodło się stworzyć powieści w pełnym tego słowa znaczeniu. LUDOWY POTOK przypomina raczej zbeletryzowany pamiętnik partyzancki. Autor ograniczył się w zasadzie do kompilacji ważniejszych wydarzeń z dziejów walki podziemnej na wsi kieleckiej, ich literackiego oszlifowania i retuszu. Nie udało mu się natomiast stworzyć zwartego i konsekwentnie rozwijanego wątku powieściowego, któremu podporządkowane byłyby wszystkie elementy akcji. Nie widać w utworze wyraźniejszej konstrukcji poza czasowym następstwem zdarzeń. Powieść cierpi na brak głównej dostatecznie opracowanej postaci, której indywidualna konstrukcja losu mogłaby stać się kręgosłupem akcji. Kilku naszkicowanych z talentem bohaterów nie wychodzi poza ramy szkiców. W wyniku zamiast powieści otrzymujemy wybór wspomnień i albumu obrazów. Materiał autentyczny okazał się silniejszy od pisarza i nie dał mu się jeszcze przetopić w nową rzeczywistość powieściową.

Nad tymi niedostatkami formalnymi utworu Ozgi-Michalskiego warto się głębiej zastanowić, ponieważ są one charakterystyczne dla wielu innych utworów, które podobnie jak ten bazują na bogactwie autentycznego materiału i na własnych przeżyciach pisarza. Trudności autora są w tym wypadku typowe dla wszystkich pisarzy na wysokim poziomie ideologicznym, którzy mając pod dostatkiem materiału chcą stworzyć coś więcej niż pamiętnik czy reportaż. Jest to zagadnienie oderwania się w koncepcji twórczej od sugestii autentyczności i twórczego opanowania materiału. Sprawa jest o tyle aktualna, że wchodzimy w okres gdy początkowe trudności tematyczne i materiałowe przełamywane już na ogół przez literatów ustępują miejsca zagadnieniu samego warsztatu literackiego. Sprawa należytego wykorzystania zdobyczy terenowych — przetworzenia ich na pełnowartościowy utwór literacki staje się zagadnieniem pierwszoplanowym, konkretnym i roboczym.

Bogactwo autentycznego materiału jest kapitałem cennym i niejako zakładowym dla powieści realizmu socjalistycznego ale, wbrew pozorom, wcale nie ułatwia pisarskiego zadania. Przeciwnie stawia pisarzy wobec specjalnych trudności, wymaga pracy literackiej większej niż utwór „czystej" fantazji. Mechaniczne wykrajanie kawału rzeczywistości nie stworzy powieści, podobnie jak wywołanie starych wspomnień i robienie z nich fotograficznych odbitek nie prowadzi jeszcze do literatury. Materiał autentyczny wymaga bowiem zawsze przetworzenia na plastyczne, posłuszne założeniom twórczym pisarza tworzywo, wymaga starannej selekcji i uorganizowania w jedną konsekwentnie rozwijaną całość artystyczną. To jest obok i po przez dojrzałość ideologiczną sprawa dopracowywania się konstruktywnej wyobraźni i dyscypliny pisarskiej autora.

Powieść Ozgi-Michalskiego zwraca uwagę na jeszcze jedno zagadnienie. Potwierdza ona słuszność poglądu o konieczności perspektywy w przedstawieniu rewolucyjnych przemian i odpowiada na pytanie d l a c z e g o w pierwszych latach po wyzwoleniu nie byliśmy w stanie dać prawdziwego obrazu wsi w czasie okupacji. Dopiero dziś, po aferze Mikołajczykowskiej, po procesach zdrajców z NSZ i AK, po zwyciężeniu odchylenia gomułkowskiego, połączeniu partii robotniczych i zjednoczeniu ruchu ludowego z perspektywy budowy socjalizmu i zaostrzającej się walki klasowej na wsi możliwe jest pełne i jasne zrozumienie wydarzeń z czasów okupacji, a więc i ich prawdziwy obraz w literaturze.

I tu powieść Ozgi-Michalskiego jest pouczającym przykładem, że ta cenna perspektywa czasu stawia przed autorem n o w e s p e c j a l n e z a d a n i e, że wymaga wielkiej czujności i wysiłku twórczego.

Ozga-Michalski obdarza np. postaci swej powieści tą wiedzą polityczną, którą przyniosły dopiero następne lata i której one mieć nie mogły.

A nie chodzi tutaj tylko o to, że nawet wrogowie klasowi używają biegle słownika politycznego i zdradzają wyrobienie polityczne marksisty z dzisiejszej szkoły partyjnej.

Sprawa jest poważniejsza.

W publikowanym przez nas fragmencie widać zbyt uproszczoną łatwą i ogólnikową argumentację przeciwko wrogowi politycznemu — zbyt łatwe jego pokonanie, a przez to spłycenie problematyki, powagi sytuacji i osłabienie prawdy obrazu.

Pochodzi to stąd, że a u t o r z a p o m n i a ł, że to, co dziś jest oczywiste — wskutek nauki lat ubiegłych, wcale nie było takim w czasie okupacji. Autor nie pamięta o e t a p i e h i s t o r y c z n y m, w którym rozgrywa się powieść. O ileż, więcej życia i prawdy nabrałaby ta scena, gdyby autor potraktował ją z większym wyczuciem czasu akcji i staranniej opanował sprawę dyskusji i argumentacji.

Mimo tych i innych pominiętych tu błędów utwór Ozgi-Michalskiego zasługuje na uwagę jako nowy dowód pomyślnego przełomu w naszej literaturze. Utwór ten nie ukazał się jeszcze w druku. Kreśląc powyższe, uwagi wychodzimy z założenia, że celem przyśpieszenia pojawienia się dobrych książek i uniknięcia omyłek, na które nas w dzisiejszej sytuacji na rynku księgarskim nie stać, powinniśmy więcej uwagi poświęcać książkom napisanym a jeszcze nie drukowanym. Szeroka dyskusja wszczęta przed ich wydaniem może poważnie pomóc autorowi uniknąć wielu błędów, które krytyka ukazuje zwykle post factum, a które możliwe są już w pierwszym wydaniu do uniknięcia; nie mówię o ogólnym, znaczeniu takiej dyskusji dla autorów i czytelników.

Dyskusja taka będzie wreszcie wkładem krytyków i czytelników w pracę powieściopisarza i podjęciem współodpowiedzialności za nią.

P.S. Zwracamy się do korespondentów i czytelników w terenie, aby zechcieli nadesłać swe uwagi i wspomnienia, dotyczące takich, jak u Ozgi, scen, zdań i dyskusji podczas okupacji. W czym widzą trafność przedstawionej przez Ozgę sceny, jakie wnoszą pogłębiające obserwacje?

EDMUND NIZIURSKI

PIOTR PIGWA

NOWE ŻYCIE WSI*)

Działo się to na bessarabskiej Ukrainie, w pobliżu miasteczka Chotyń. Przed komisją poborową stawał dwukrotnie 20 letni pastuch, parobek i robotnik rolny. Dwa razy powędrował do domu, na trzydziesięcinową maleńką i nędzną gospodarkę. Nie chciano wziąć do wojska takiego „chudzielca". A „chudzielec" dzielnie bił w latach Wielkiej Rewolucji Październikowej petlurowców, gromił wespół z kolegami — chłopami bandy Machna i Marusi, zaciętych wrogów socjalizmu.

Jest to fragment życiorysu inicjatora ruchu kołchozowego na Ukrainie — Teodora Dubkowieckiego. Znaego już część chłopów polskich z wycieczek do Związku Radzieckiego z ubiegłego roku, zna z jego pobytu w Polsce.

Pragnę zainteresować naszego chłopskiego czytelnika książeczką zatytułowaną „Nowe życie wsi", w której Dubkowiecki opisuje powstanie i rozwój przodującego na Ukrainie kołchozu „Ul i pszczoły".

W jakich powstawał warunkach? Ucichły już odgłosy walk z białogwardyjską reakcją, pozostali jednak na wsi kułacy. Kształtował się wprawdzie już ustrój radziecki, ale młode wyniszczone państwo od razu nie mogło zapewnić pionierom kolektywizacji należytej pomocy. Trzy pary lichych koników, trzy pługi sześć bron, dwa wozy i 51 ha wyugorowanej poobszarniczej ziemi — to był cały majątek „Ula i pszczoły". Wokół — morze indywidualnych gospodarzy, nastawianych wrogo do kolektywizacji przez kułaków.

„Nie mieliśmy ani doświadczenia ani tradycji — pisze Dubkowiecki. Ja już wiedziałem, że byli na świecie socjaliści-utopiści, którzy kreślili plany przyszłego szczęśliwszego życia. Ale oni marzyli, ażeby z początku wychować czyściutkich, cnotliwych ludzi, a dopiero potem budować socjalizm. A my, inicjatorzy kołchozowego ruchu, zaczęliśmy budować socjalizm tacy, jacy byliśmy i w trakcie samego budownictwa usuwaliśmy kapitalistyczne paskudztwo, co to wpiło się w nas".

Próbowali kułacy spalić skromne zabudowania kołchozu, usiłowali buntować okolicznych chłopów, a jednak „Ul i pszczoła" rozwijał się. W kwietniu 1926 roku wyjechał na kołchozowe pola pierwszy traktor. Schodzili się zewsząd chłopi, oglądali uważnie zaoraną ziemię, badali głębokość bruzdy. Traktor zwyciężył nieufność. Wpisywali się do kołchozu coraz to nowi ludzie. W 1929 roku opuścili raz na zawsze chłopi, dawni biedacy i wyrobnicy, stare słomiane strzechy i przenieśli się do nowych jasnych domów. Z bliższej i dalszej okolicy zjeżdżali się chłopi. Niektórzy, nasłuchawszy się kułackich plotek szukali tu wspólnych kołder, pod którymi mieli spać razem mężczyźni i kobiety. Znajdowali dobrobyt „Ul i pszczoła", przemianowany na

Przerwa w pracy żniwnej na polach kołchozu

ckiego. Ale już rodziła się kołchozowa pięciolatka. Pościągali ludzie zewsząd, ruszyła praca.

Od tysięcy lat płynie obok obecnego kołchozu rzeka Tykicz. Czas ją najwyższy ujarzmić. Niech woda obraca turbiny, niech popłynie energia elektryczna, poruszająca młocarnie, wialnie, sortowniki, młyn, krupiarnię, olejarnię, wytwórnię wina, tartak, warsztaty mechaniczne, niech orze ziemię, poleva ogrody, piecze chleb, doi krowy, strzyże owce, prasuje bieliznę chłodzi ludzi, daje dzieciom zdrowie. Z założeniem elektrowni na Tykiczu wiąże się wykonanie pięciolatki, wielkiego planu odbudowy. Człowiek wziął się za bary z przyrodą, nagiął ją do swoich potrzeb. Ludzie okazali się silniejsi. Tykicz obsługuje dziś wiele urządzeń kołchozowych. „Zdobycz Października" ma za sobą ponad 25 lat istnienia. Zbudowali go prości ludzie, którzy posiedli rozległą wiedzę agrotechniczną, nauczyli się wielu zawodów. Mężczyźni i kobiety.

Praca kobiety radzieckiej stanowi piękną kartę w rozwoju ruchu kołchozowego. „Kobiety w kołchozach — mówił Stalin — to wielka siła. Chować tę siłę pod korcem to znaczy popełnić przestępstwo. Nasz obowiązek polega na tym, żeby w kołchozach wysuwać kobiety naprzód i uruchomić tę siłę".

Nikt też w Związku Radzieckim tej siły pod korcem nie chowa. Oto Pasza Angelina, która w książce pt.: **„Kobiety traktorzystki na polach kołchozu"** pokazuje wysuwanie kobiet na czołowe i odpowiedzialne stanowiska w kolektywach. Książka Angeliny to opowieść o brygadzie radzieckich traktorzystek. Najpierw jednak, kto to jest Pasza Angelina? Córka drobnorolnego chłopa, twórcy i przewodniczącego kołchozu. „Marzyłam o tym, by zostać traktorzystką. Kocham ziemię. Moim powołaniem jest praca na roli. Odziedziczyłam to powołanie po ojcu. Ojciec mój, tak jak dziad, sochą orał ziemię, ale do źródeł płodności gleby nie dotarł".

Dotarła do niej Angelina i jej grupa traktorzystek. Wyjechały w pole jeszcze w okresie, gdy traktor zdobywał sobie dopiero uznanie społeczne chłopów. Dziewięć traktorzystek rozpoczęło twardą walkę o nową, wyższą organizację produkcji rolnej, walkę o dotarcie do źródeł płodności gleby. W sezonie 1934 pracowały traktorzystki z brygady Angeliny na polach siedmiu kołchozów. Zebrano bogaty plon. Daleko poza Stalinowski rejon, po całej Ukrainie rozeszła się szeroko sława dziewcząt, które przeorywały przeciętnie 900 ha. Jeszcze przed wojną przekroczyły 1200 ha na traktor. Rosły osiągnięcia, rosły i doświadczenia. Angelina referowała prace brygadzistek w Moskwie na naradzie przodowników. Wtedy to Stalin, wysłuchawszy sprawozdania powiedział do wzruszonej dziewczyny: „Kadry, towarzyszko Angelino, kadry".

Brygada przekształciła się szybko w szkołę, niejako „traktorowy instytut" w Staro-Bieszowie. Odtąd już nieprzerwanie odchodziły z „instytutu" doświadczone traktorzystki, przybywały nowe. W 1930 roku była Angelina jedyną traktorzystką w Związku Radzieckim, w 1937 roku miała już ponad 200.000 koleżanek. Maleńka brygada dokonała prostej na pozór rzeczy — opanowała technikę prowadzenia traktoru, a przecież w kilka lat później wiedział o niej nie tylko Związek Radziecki, ale wielu robotników z całego świata. Walcząca młodzież Hiszpanii przesłała Angelinie i jej towarzyszkom pozdrowienia z pola bitwy o czerwony Madryt na pole walki o szczęście i dobrobyt. „Brońcie serca waszej demokratycznej republiki — rewolucyjnego Madrytu. Bądźcie mężni organizujcie swoje siły, wzmacniajcie porządek i dyscyplinę — a zwyciężycie!" — odpisywały brygadzistki.

W ciągu dwu lat okupacji zniszczyli zupełnie Niemcy starobieszowski kołchoz. Po wyzwoleniu nie było koni, ani krów, nie było maszyn. Nadchodził czas siewów zbóż ozimych, tymczasem ziarno leżało w składach odległych o 25 km od kołchozu. W zimny deszczowy czas błądząc po stepie nocą, padając ze zmęczenia niosły kobiety zboże siewne. Była to droga do zwycięstwa. Ze szczątków niemieckich motorów budowano nowe obrabiarki. Odremontowane traktory wyruszały w pole, przyjeżdżali dziennikarze, mówiono o cudzie dokonanym przez brygadzistki. Legendę rozwiała Angelina. „Cudem" okazała się zwykła, rzetelnie i ofiarnie wykonywana praca.

Może będą rozmawiać z Angeliną nasze chłopki w czasie trwających obecnie wycieczek do radzieckiego kraju. Sprawdzą naocznie to co przeczytają o kobietach traktorzystkach na polach kołchozu.

Piotr Pigwa

*) T. Dubkowiecki: „Nowe życie na wsi". P. Angelina: „Kobiety traktorzystki na polach kołchozu". „Książka i Wiedza" 1950.

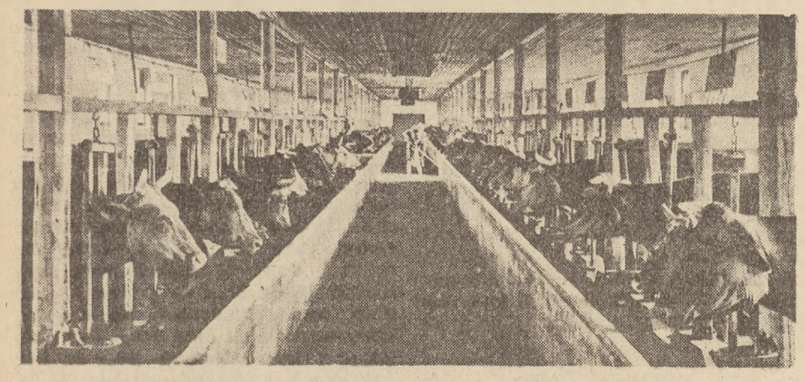

Obora w kołchozie

„Zdobycz Października" stał się widomym dla wszystkich świadectw wyższości kolektywnej gospodarki nad indywidualną. W 1930 roku 30 traktorów wyruszyło na pola talnowskiego powiatu, szły przez wąziutkie działki drobnorolnych chłopów, zaorywały raz na zawsze miedze, źródło kłótni, bijatyk, procesów sąsiedzkich i zbrodni.

Siedemnasta wiosna istnienia kołchozu szczególnie silnie utkwiła w pamięci autora „Nowego życia wsi". „Zdobycz Października" wyglądał jak kwitnąca wyspa pośród starannie uprawianych pól. Piękny dom mieszkalny, klub rzemieślniczy, laboratorium doświadczalne, biuro, lekarska przychodnia, liczne zabudowania gospodarskie stanowiły siedemnastoletni dorobek, małe nowoczesne miasteczka z daleka od miast.

Przyszła wojna. Ludzie ze „Zdobyczy Października" tęsknili za Ukrainą w rowach strzeleckich, jako partyzanci obchodzili nocami rodzinne strony, rwali się na Zachód pracując w innych republikach radzieckich. Niemcy zniszczyli niemal wszystko. Przepadł wielki sad, zniszczały winnice, ludzie zapomnieli o elektryczności, wodociągach i automatycznych poidłach Zapuszczony staw, zrujnowane budynki, dzieci nieumiejące czytać ani pisać — oto co pozostawili po sobie Niemcy. „Niech będą przeklęci podżegacze wojenni — pisze Dobkowiecki. — I martwi i żywi i ci, co się jeszcze nie narodzili. Niech wieczna hańba spadnie na ich krwawe imiona". Przepadły owoce dwudziestu lat pracy. Zginęli na polach walk dwaj synowie Dubkowie-

RYSZARD HŁADKO

POWIEŚĆ O CZESKIM TEATRZE

Książka Malirzowej *) jest powieścią specjalnego typu, daje ona bowiem skondensowany zarys dziejów czeskiego teatru. Akcja „Marioli" rozpięta jest w szerszej płaszczyźnie czasowej, niż to zazwyczaj się spotyka. Obejmuje bowiem okres od drugiej połowy XVIII w. do pierwszego dwudziestolecia XX wieku, a więc przeszło 150 lat. Tematem powieści jest kształtowanie się stylu i form współczesnej sztuki aktorskiej w Czechach w jej ewolucyjnym przebiegu aż do współczesnego filmu włącznie. Opowieść stanowi jak gdyby monografię czeskiej kultury dramatycznej. Wokół zagadnień sceny i atelier obraca się życie kilku pokoleń — całej dynastii miłośników gry aktorskiej, poczynając od spauperyzowanego mieszczanina Macieja Kopeckyego, skończywszy na tytułowej bohaterce powieści, prawnuczce Macieja Maruszce — Marioli. Każde z tych pokoleń związane jest z poprzednim nie tylko węzłami krwi, lecz przede wszystkim dziedziczy jego predyspozycje artystyczne.

Współczesna sztuka aktorska w Czechach narodziła się w wędrownej budzie ówczesnego marionetkarza, który ze swoją „trupą artystyczną" objeżdżał miasta i wsie kraju. Niemy, zastygły w drewnie uśmiech nieporadnej kukiełki z szopki Macieja Kopeckyego rozpoczynał epokę w dziejach teatru czeskiego. Kukiełki były najwcześniejszą a zarazem najbardziej ludową kreacją aktorską. Maciej Kopecky sam układał repertuar do swojego „teatrzyku". Udramatyzował pieśń, baśń i legendę czeską. Czasy, w jakich przyszło działać jemu i jego bezpośrednim następcom ,były czasami wielkich fermentów i zaburzeń społecznych. Pierwszy impuls dała Wielka Rewolucja Francuska 1789 r. i burżuazyjno - postępowe idee, jakie niosła z sobą. Ich echem stał się „pożar" Wiosny Ludów 1848 r., który ogarnął prawie całą Europę. Narody uciskane powstały przeciw tyranii i absolutyzmowi „Św. Przymierza", które w Cieplicach w osobach koronowanych satrapów „naradzało się nad tym, jak to urządzić, żeby się tak panowało razem w zgodzie i pokoju bez niebezpiecznych nowości i w ogóle bez nowości."

Obudziło się także sumienie Czechów. Niewola zaczęła im ciążyć. Józik Dvorzak, przybrany syn Macieja Kopeckyego, mógł wtedy stwierdzić, że „narodowość i klasa społeczna to ta sama bieda". Dążność do odrodzenia się narodowego stała się dążnością do odrodzenia języka. Synonimem tego odrodzenia miał się stać czeski Teatr Narodowy (Dostojny). Postulat ten wysunęła czeska burżuazja, skoligacona silnymi węzłami wspólnych interesów życiowych z niemiecko-austriacką arystokracją przemysłową. Pod pozorem „interesu narodowego" zabezpieczono się przed wyraźniejszymi żądaniami czeskiego proletariatu. Lud dał się chwycić na haczyk, na którym nie było ani okruszyny chleba. Proletariusz czeski w dobrej wierze składał swój ciężko zapracowany grosz do kasy fundacyjnej „Dostojnego". „Lecz złoty przybytek został wzniesiony na wzór scen światowych i jego pluszowe fotele i jego loże były arystokratycznie oddzielone od miejsc dla prostego ludu." Oto mamy: pod szyldem patriotyzmu realizuje się interes klasowy burżuazji.

Zmieniły się role: Maciej Kopecky ośmieszał w swych sztukach możnych tego świata i kpił z ich pojęć o dobru, pięknie i miłości, teraz zaś burżuazja zadrwiła gorzko z ludu czeskiego i z pogardzanych „komediantów", którzy sprzedają jej swą szpetotę, błazeństwo i swą... nędzę. Bawi się ona ich ułomnościami, ułomnościami Kasperka Dvorzaka, aby tym bardziej utwierdzać się we własnej doskonałości, aby nie myśleć o ułomnościach systemu, który stworzyła i o jego nieuniknionym końcu. Takie jest właśnie stanowisko widza. O tę pozycję toczy się wśród samych artystów nieustanna walka. Malirzowa ukazuje, jak w tej dramatycznej walce każdy z „komediantów" stara się zająć jak najbardziej wygodną pozycję i uzyskać bilet wstępu do klas wyższych. Nie każdemu się to udaje. Wzniosłe marzenia Błażenki o wielkiej karierze scenicznej skończyły się całkiem prozaicznym niańczeniem dziecka, na które „łapać" musiała sobie męża. Ambitny Hieronim po swym nieudanym benefisie w Teatrze Narodowym spada do roli suflera i wkrótce obumiera na udar serca żonę, która w teatrze „dochrapała się" stanowiska... szatniarki. Jej syn Andrzej doznaje całkowitej ślepoty i musi przebywać w zakładzie. Im wszystkim, na przeszkodzie w nieustannym pędzie do sceny stają nędzne warunki życia. Ich wzniosłe postulaty zbyt szybko się materializują. W ostateczności nie pozostaje im nic innego jak pogoń za dostatnim, spokojnym i wygodnym życie mieszczucha. „Wtedy się tyje i ma się spokojne nerwy" — mówi Wieńczysława, synowa Dvorzaka. Magdalence, córce Macieja Kopeckyego, śni się stanowisko jej siostry, której „udało się" wyjść za mąż za księgarza cesarsko - królewskiego. Przystawia do swego policzka pijawki. „Wierzy, że z niej pijawka wypije chłopską krew i że jej policzki zbledną po pańsku". Nie dla wszystkich los jest aż tak niełaskawy. Ale bo też „awans społeczny" jest niemal nie do osiągnięcia na scenie. Dać go może tylko całkowite zerwanie z teatrem i przerzucenie się do innego zawodu.

Tak też stało się z Józikiem Dvorzakiem, byłym marionetkarzem, który z wędrownego artysty stał się zwykłym fotografem. Dokonała się w nim całkowita degrengolada artystyczna. Uzyskuje „awans społeczny", zasilając szeregi burżuazji. Poprawił swój los nie przez rewolucyjne działanie, jak to chciał za młodu uczynić, lecz przez przejście z proletariatu do burżuazji. Tym samym musi przyjąć światopoglądowe konsekwencje tego przejścia — musi myśleć i postępować tak, jak myśli i postępuje każdy inny burżuj. Żyje w dostatku, karmi się wspomnieniami o swej niedawnej przeszłości, hojnie rzuca groszem na „Narodowy", lecz unika okazji, które mogłyby go zetknąć z Wacławem Kopeckym, kontynuującym „marionetkowe tradycje" swego ojca. Kiedyś z zachwytem mówił o wynalazkach, dziś je przeklina — niosą mu one zapowiedź konkurencji, która może go zniszczyć. Wprawdzie nie wykupuje patentów na wynalazki, tak jak to robią współcześni kapitaliści, ale także nie chce zastąpić swojej „mokrej metody" „suchą kliszą", która jest ostatnią zdobyczą sztuki fotograficznej. Występuje więc przeciwko postępowi technicznemu, o który kiedyś tak walczył.

Najsilniejszą indywidualnością powieści Malirzowej jest postać niewidomego Andrzeja, a nie jak to się na pozór wydaje tytułowa bohaterka Maruszka-Mariola. Postać Andrzeja posłużyła autorce do sformułowania stosunku klasy robotniczej do burżuazyjnej polityki kulturalnej na odcinku teatru. „Burżuazja — mówi Andrzej w rozmowie ze zbankrutowanym współwłaścicielem iluzjonu Vendelinem Dvorzakiem — uczyniła cnotę obywatelską i cel życia z gromadzenia pieniędzy, a teatr, któremu cała wolność także ma prawo zbierać pieniądze." Andrzej przeszedł ewolucję ideologiczną, która przywiodła go do szeregów klasy robotniczej i do czynnego działania wśród niej. Sam ożenił się z córką agitatora socjalistycznego, organizatora strajków i wieców. Ociemniały Andrzej otrzymał wykształcenie muzyczne. Jest nauczycielem gry na fortepianie. Niestety nie posiada instrumentu. Na tle tego braku urabia się w nim stosunek do zagadnienia własności prywatnej. Kiedy myśli o jej rozdziale, to mówi o rozdziale instrumentów. Poprzez własną krzywdę dochodzi do stwierdzenia powszechnej krzywdy klasy robotniczej. Andrzej jest zwiastunem „odradzania się" czeskiej sztuki dramatycznej, którego ma dokonać kinematograf b-ci Lumière. Z entuzjazmem rozprawia o tym wynalazku. Dokonać się ono ma w osobie Marioli, niestety na gruncie obcym, we Francji. Mała, delikatna, buntująca się przeciw tyrwializmowi sceny aktoreczka zdobywa wielką sławę występując na ekranach paryskich kin. Jest zwycięskim, choć złudnym i pozornym ukoronowaniem marzeń Macieja Kopeckyego i jego następców o wielkiej sztuce czeskiej.

Autorka zakończyła swą powieść symboliczną sceną. Mariola gra w filmie, kreując rolę człowieka we wszystkich stadiach jego rozwoju. Mariola jest w tym filmie marionetką-lalką odgrywającą komedię życia ludzkiego. Jest pajacem, którego pociąga reżyser za sznurek. Jest szczęśliwa — ale właśnie dla tego, że nie potrzebuje się borykać z losem jak przedtem, nie potrzebuje myśleć, aby móc słuchać i wykonywać rozkazy reżysera. Jest bowiem tylko Marioląlalką-pajacem. Ten akcent końcowy pouczającej, obfitującej w bogaty materiał faktyczny powieści Malirzowej, podkreśla w sposób dobitny degrengoladę sztuki teatralnej i aktorskiej w ustroju kapitalistycznym.

RYSZARD HŁADKO

*) Malirzowa Helena, „Mariola", tłumaczyła Alina Świderska, „Książka i Wiedza", Warszawa, 1949 r.

STANISŁAW MĘDELSKI

PIERWSZE SPOTKANIE Z FASZYZMEM

Książka i życie niemieckiego pisarza Willi Bredla[1]) są zaprzeczeniem tych wszystkich reakcyjnych i szkodliwych tez, które utożsamiając hitleryzm z narodem niemieckim, usiłują podważyć zaufanie innych narodów do postępowych, antyfaszystowskich elementów w Niemczech, na których bazuje Niemiecka Republika Demokratyczna. Willi Bredel był bowiem komisarzem politycznym niemieckiego batalionu im. Thälmanna w Hiszpańskiej Armii Ludowej.

„Spotkanie nad Ebro" jest opowieścią o udziale antyfaszystów niemieckich w wojnie domowej w Hiszpanii. Książka została napisana w Barcelonie jeszcze przed zakończeniem walk o wolność Hiszpanii, lecz zanim dotarła do rąk czytelników, przeszła bardzo znamienne koleje losu, które rzucają tyle światła na wartość i jakość tej książki, że nie sposób ich tutaj nie przytoczyć: „...Zanim rękopis wysłano wydawcy, trzeba go było wydobyć spod gruzów zbombardowanego hotelu. Miała się ukazać w Pradze, w wydawnictwie Malika. Książka była już złożona, gdy właśnie do Czechosłowacji wkroczyły wojska hitlerowskie. Zarekwirowano drukarnię i gestapo stopiło ołowiany skład książki. Jeden z drukarzy zrobił jednak potajemnie szczotkową odbitę, i tę odbitkę zabrała do swej walizki pewna amerykańska dziennikarka jadąca przez Niemcy do Paryża. Tu ukazała się narazie w wydawnictwie „10 maja", założonym przez niemieckich pisarzy emigrantów. Wkrótce po jej ukazaniu się nastąpił wybuch wojny europejskiej. Policja francuska zarekwirowała książki a gestapo je zniszczyło."

Nie ma w tym nic dziwnego, że gestapo tak wytrwale i gorliwie tropiło książkę Bredla. Książka ta bowiem demaskuje perfidny akt napadu niemieckich i włoskich faszystów na Hiszpanię. Bredel sprawę stawia jasno: wojna domowa w Hiszpanii była bezczelną próbą sił, potrzebną faszystom dla poznania swoich możliwości i wybadania nastawienia „starej Europy". Na ratunek zagrożonemu narodowi hiszpańskiemu śpieszy wielu cudzoziemców miłujących wolność i pokój. Z nich właśnie rekrutuje się Brygada Międzynarodowa w hiszpańskiej Armii Ludowej. Bredel dobitnie i trafnie ukazuje ideologiczne podłoże tego wspaniałego zrywu: „Gdybym nie wiedział o co idzie gra, i że wszystko zależy od wyniku tej właśnie walki, nie byłoby siły, któraby mnie tu ściągnęła. Nigdy nie miałem zrozumienia dla natur wojowniczych, dla żołnierzy duszą i ciałem, którzy tam się najlepiej czują, gdzie jest największe niebezpieczeństwo. ...Czyż jest coś bardziej barbarzyńskiego, nieludzkiego jak to wymyślne niszczenie, jak te motory rzucające bomby, te jeżdżące potwory pancerne, te wybuchające pociski. ...Czy ktoś, kto choć raz przejeżdżał przez bombardowane miejscowości, słyszał krzyk kobiet uciekających z walących się domów, i widział obcięte skrwawione dziecięce nóżki leżące na ulicy, niczym wyrzucone niepotrzebne obuwie, czy taki człowiek może być żołnierzem z zamiłowania?..."

Książka Bredla jest przesycona głęboko humanistyczną treścią, niezłomnym dążeniem do pokoju. Jest ona wielkim poematem na cześć prawdziwych ludzi, którzy szczerze nienawidząc wojny, bohatersko walczyli z głównymi nosicielami nowoczesnego barbarzyństwa: faszystami. Żołnierze hiszpańskiej Armii Ludowej byli to żołnierze wolności, których zmobilizowała do walki nie uchwała rządu, ale chęć obrony przed grożącą faszystowską niewolą. Walczyli nie tylko w obronie własnej ojczyzny, walczyli za wszystkich ludzi miłujących wolność i pokój, za wszystkich wyzyskiwanych i uciśnionych.

Jakże znamienny jest ten fragment książki, w którym Bredel ukazuje żołnierzy batalionu im. Tälmanna, którzy przybywszy po wielotygodniowych uciążliwych walkach frontowych na wypoczynek do zapadłej hiszpańskiej wsi, tkwiącej w odmętach feodalnego zacofania — w ciągu czterech tygodni zmieniają zupełnie jej oblicze: „Zasypywano i udeptywano wyrwy na gościńcu. Naprawiano dachy stajen i obór. Reperowano i bielono popękane ściany chat. Naprawiano złamane krzesła. Wstawiano szyby. Budowano ustępy, których — trudno uwierzyć — nie było w wielu zagrodach... Epidemia tyfusu została zwyciężona; teraz zapanowała we wsi gorączka pracy i czynu." Zmienili też nieufni chłopi zdanie o tych żołnierzach, którzy okazali się nie burzycielami, lecz budowniczymi.

Ale Bredel nie ogranicza się tylko do ukazania bohaterskiego stylu walki demokracji hiszpańskiej. „Spotkanie nad Ebro" jest przede wszystkim spotkaniem z faszyzmem. Bredel demaskuje perfidne faszystowskie metody walki, zastosowane w Hiszpanii. Spotykamy tam doskonale zorganizowaną aparaturę „piątej kolumny", spotykamy dobrze później w całej Europie poznane metody żerowania na ciemnocie i najniższych instynktach, poznajemy zbójecką metodę zastraszania narodu. Armia gen. Franco składa się poza wysłańcami Hitlera i Mussoliniego w głównej mierze z Marokańczyków. Pamiętając niewolę hiszpańskich grandów, uważali Marokańczycy wojnę na terenie Hiszpanii za pewnego rodzaju zadośćuczynienie za wszystkie krzywdy kolonialnego ucisku. „Nie zdawali sobie sprawy, że są wyzyskiwani, że przelewają krew w obronie najgorszych wrogów, w obronie generałów, w obronie przedstawicieli feodalizmu i bankierów. Ci najemni żołnierze i wojacy kolonialni nie znali socjalnego podłoża tego konfliktu. Najechali stolicę kraju i wiedzieli, że czekają ich łupy, sława i potęga. Przybyli z wąwozów, z nad przepaści, ze smutnych miasteczek garnizonowych wybrzeża i pustyni, i mile dźwięczało w ich uszach, gdy ich nazywano zbawcami, obrońcami cywilizacji, obrońcami Hiszpanii." Tylko na takich wojowników było stać faszyzm.

Jakimi sposobami Franco usiłował werbować sobie ludzi, o tym mówi następujący fragment książki: „...Front głodował. ...Włoskie myśliwce rzuciły na nasze pozycje woreczki przymocowane do małych spadochronów. Zdumieni towarzysze otworzyli woreczki i znaleźli w nich chleby ze śnieżnobiałej mąki oraz kartki z napisem: — „Taki chleb my jemy! Poddajcie się! Złóżcie broń!" Ale faszyści pomylili się w adresie. „Następnego dnia republikańscy lotnicy zrzucili te woreczki do nieprzyjacielskich okopów. Zawierały one trociny i kartkę, na której było napisane: — Taki chleb my jemy! Ale nigdy nie poddamy się!"

Dlaczego jednak tak się działo, że faszyści mogli dać swym żołnierzom biały chleb i zaopatrzyć ich w najbardziej nowoczesną broń, podczas gdy republikanie głodowali, a broń niejednokrotnie musieli zdobywać na wrogu? Odpowiedź na to pytanie znajdujemy także w książce Bredla. Rządy wszystkich krajów kapitalistycznych zajęły w stosunku do Hiszpanii postawę wyczekującą, bojąc się narazić gwałtownie rosnącej potędze faszyzmu. Jedyną nadzieją wolnej Hiszpanii był Związek Radziecki. Jego pomoc spotykała duże trudności, gdyż wjazdu do Hiszpanii strzegły nie tylko zbrojne bandy Hitlera i Mussoliniego — strzegł go także francuski premier „socjalista" Blum.

Książka Bredla miała do spełnienia przed 12 laty bardzo ważną polityczną rolę. „Spotkanie nad Ebro", jako pierwsze zbrojne spotkanie ludzi walczących o trwały pokój — z faszyzmem, miało być groźnym ostrzeżeniem dla „starych demokracji" zachodnio-europejskich i wyrazem protestu wszystkich miłujących pokój i wolność. Niestety, ostrzeżenie to przyszło za późno. Przysłonił je krwawy znak swastyki, zatknięty na zgliszczach Europy. Ale „Spotkanie nad Ebro", mimo że dotarło do nas po 12 latach od chwili zamierzonego wydania, nie straciło na aktualności. Faszyzm i wojna, przed którymi ono ostrzega, zagrażają nadal ludzkości. Książka Bredla dziś spełnia pozytywną rolę w naszej walce o pokój.

STANISŁAW MĘDELSKI

[1]) Willi Bredel: „Spotkanie nad Ebro", PIW. 1950. Tłum. M. Leśniewska. 216 s.

FAKTY I ZDANIA

Szkoła imienia... żyjącego poety

Czy w świetlicach znajdują się tomiki współczesnych poetów? Raczej — nie. Czy w szkołach podstawowych na wsi czyta się młodzieży wiersze współczesnych poetów? Nie doceniamy tej akcji tak ważnej dla młodzieży i dla poetów. W poezji naszego czasu znalazłaby młodzież odbicie walki i pracy, z których wyrasta nowy ustrój. Odbicie w tej formie artystycznej, jaka najszybciej wywołuje wzruszenie i łączy poznanie z wzruszeniem. Nie domyślacie się, jakim wydarzeniem w szkole na prowincji staje się nowa poezja, która tam jak dotąd wdziera się zazwyczaj przypadkowo. Mam przed sobą dokument takiego wydarzenia. Jest to list uczniów V i VI oddziału ze wsi Kąty w gminie Międzylas.

Nauczycielka czytała im wiersze poety Włodzimierza Słobodnika. Na dzieciach zrobiły wielkie wrażenie. Postanowły nazwać szkołę imieniem Słobodnika. Oto ich list do Słobodnika:

Szanowny Obywatelu!

Teraz już uczymy się drugiego wiersza pt. „Mały Pedro". Chcielibyśmy, żeby Obywatel do nas przyjechał na koniec roku szkolnego, to my powiemy oba wiersze. Te i inne Wasze wiersze nam się bardzo podobały, choć są trochę za trudne, ale my się ich nauczymy.

Już weszliśmy teraz na prostszą drogę i możemy się lepiej uczyć. Nazwaliśmy naszą szkołę Twoim Imieniem i zapytujemy, czy obywatel się zgadza?

Teraz piszemy do Ciebie list i prosimy bardzo o przybycie do nas. Prosimy o prędki odpis na nasz list (może telegram?). Żebyśmy wiedzieli kiedy Obywatel przyjedzie, to my wyślemy furmankę.

Od stacji kolei w Tłuszczu jest 10 km. drogi piaszczystej.

Klasa V i VI

„Ostre nożyce"

W 22 nr. „Dziennika Literackiego" ukazał się drugi akt pamfletu scenicznego Jerzego Pomianowskiego „Nożyce, się odezwą". Akt pierwszy, drukowany w „Przekroju", pomimo, że był nieco słabszy uderzył zdaje się dość celnie, nożyce bowiem — w postaci T. Borowskiego — odezwały się w „Nowej Kulturze" natychmiast.

A pamflet ten pomimo tych czy innych niedostatków pisarskich, posiada elementy pozytywne i aktualne, które trzeba podkreślić. Po pierwsze „ciacha" b. zręczne sieczbrodziszów i Dzwońców naszej literatury, których niestety jeszcze nie brakuje.

Po drugie (może trochę mniej zręcznie) stawia pozytywny problem awansu społecznego dziewczyny wiejskiej i wreszcie w drugim akcie wyławia osławione, młodopolskie „ludomaństwo", które w nowej formie wróciło do literackiego dworku w Żłobach. To fakt proszę obywateli! Wróciło! Ostatnia akcja wyjazdowa pisarzy udowodniła nam wyraźnie, że wielu pisarzy wraca do tradycji inteligenckiego „wchodzenia w lud", do zachwytów nad chłopską i robotniczą (nowość!) krzepą! Nad wieloma sprawozdaniami z poprzedniego numeru Wsi zawisło jak memento owo „weselne" „Chłop potęgą jest i basta!" Słusznie uderzył Pomianowski. I choćbyśmy mu mieli wiele do zarzucenia, jeśli chodzi o niektóre niedociągnięcia i łatwizny, to musimy stwierdzić, że tu nożyce tną ostro i równo!

Mp.

Po lewej stronie

Tak się złożyło, że droga dzieli Nebrowo na dwie części. Na prawo mieszkają gospodarze indywidualni, będący pod silnym wpływem miejscowych bogaczy wiejskich, na lewo spółdzielcy. Kiedy „lewa strona" zakładała spółdzielnie, „prawa" podjudzana usiłowała jej ten „głupi pomysł" wszelkimi sposobami „wybić z głowy". Nie pomogły jednak ani instrygi, ani plotki. Spółdzielcy nie wystraszyli się nawet uroczystych zapewnień, że jak tylko w Nebrowie kołchoz założą, to w dwa tygodnie obrażona Ameryka wypowie Polsce wojnę! Spółdzielnie założono, wojna jakoś nie wybuchła.. Z wzrastającym zaciekawieniem wypytuję się o dalsze nowości, o znajomych.

Wspólna praca okazała się najlepszym sprawdzianem ludzi z „lewej strony". Prawie wszyscy zdali egzamin. Kogoś tam trzeba było ze spółdzielni za pijaństwo i kłótliwość usunąć, za to doszli nowi. Przyjęto Kamińskiego, Gęsickich i dwie rodziny Damaziaków. Ogrodnik Jóźwiak wrócił z kursu w Warszawie i jest obecnie buchalterem spółdzielni. Kowal Małkowski okazał się równie dobrym pracownikiem rolnym. Siał „równiutko jak maszyna".

Pilna praca przyniosła rezultaty. Na spółdzielczych polach rośnie rzepak, mieszanka, konopie. Jest 20 ha buraków i 20 ziemniaków. W chlewie gospodaruje przeszło 30 prosiąt, 8 macior i knur, w stajni — 13 koni i ogier. Krów mają spółdzielcy już ponad 40. Przeprowadziły się one ostatnio na nadwiślańskie łąki. Przeniesiono im tam drewniane szopy, aby nie potrzebowały wracać na noc do wsi. Wrócą dopiero jesienią do czystych, wyremontowanych obór. Ostatnio sprowadzili sobie spółdzielcy z wylęgarni 300 rasowych kurcząt. Narazie hodować je będą indywidualnie, ale na przyszłość planują założenie również spółdzielczej hodowli.

Zachęceni wynikami wspólnej gospodarki zgłaszają się do spółdzielni coraz to nowi ochotnicy wyzwalający się spod kułackich wpływów. Ale spółdzielcy wzięli „na ambit". Sami tak jak są w 16 rodzin dadzą sobie radę. Chętnych przyjmą ale dopiero po żniwach. *Franciszek Fenikowski.*

Z Opolszczyzny

Rolnictwo, przemysł, osadnictwo, autochtoni — oto główne elementy życia na Opolszczyźnie.

Jak niegdyś wieża kościelna, tak dziś komin fabryczny staje się na wsi ośrodkiem marzeń o przyszłości i wskaźnikiem losu. Do spraw wiejskich coraz gęściej wkraczają sprawy fabryczne: produkcja, norma, eksport. Rozmowy w świetlicy czy sklepie spółdzielczym wciąż schodzą na tematy wybiegające daleko poza sprawy wsi. Ginie wieś stara, bezradna w swej biedzie, odizolowana od życia, sama dla siebie, siedlisko plotek i zabobonu. Prąd nowego życia jest zbyt silny, a co najważniejsze — jest urzekający. Ten prąd porywa nie tylko osadników, ale i ostrożnych autochtonów.

Na zanik separatyzmu na Opolszczyźnie, jaki do niedawna można było zauważyć tu i ówdzie, w dużej mierze wpływa wspólna praca fabryczna. Na wsi mogli się autochtoni odizolować od osadników, w fabryce jest to niemożliwe. Tu więc nikną uprzedzenia, tu znajduje się wspólny język i porozumienie, które następnie już bez trudu przenosi się do wsi.

Niechęć do podpisów, tak znamienna wśród autochtonów a często przybierająca cechy humorystyczne, jest zapewne spuścizną dawnych warunków życia, kiedy to zaufanie Polaków nieraz było wystawione na gorzką próbę. Stąd dziś ta ostrożność w podchodzeniu do wielu zagadnień życia gospodarczego i politycznego. Tutejszy chłop zakontraktuje len czy buraki, ale wzdryga się, gdy mu każą podpisać odpowiedni blankiet. Podobnie miała się rzecz z akcją pokojową. Nie kwapili się z podpisem.

Dopiero dzieci z przedszkola tartacznego, kiedy zaprosiły rodziców na swą uroczystość, połączoną z wystawą prac dziecięcych.

— Patrz, matka — mówi autochton — co te smyki mają tu za życie. My sobie przy pracy, a w tym czasie im dają i dobre wyżywienie, i opiekę, i wszystko. Nawet drzemkę poobiednią mają, jak dawni hrabiowie. Gdy ja tyli byłem, to w rowie, albo gdzie bądź...

Westchnął. Kobieta go szturchnęła w bok, żeby był cicho. Czy nie słyszy, jak dzieci pięknie deklamują?

— Dobrze nam w przedszkolu. My nie chcemy wojny. Wojna wyrzuci nas z przedszkola. Wołamy, wołamy o pokój. Wołamy, bo podpisać się nie umiemy.

Tegoż dnia cała załoga tartaku podpisała apel sztokholmski. Nikt nikogo nie zachęcał. Autochtoni sami dopytywali się, gdzie jest lista.

Władysław Dunarowski

Spóźnione refleksje...

Jest w Polsce pismo spóźnione dość wyraźnie tak w rozwoju umysłowym jak i historycznym. Ostatnio spóźniło się ono także zamieszczając w numerze z dn. 25 bm. uwagi marginesowe ze Zjazdu Polonistów, który odbył się... od 8 — 12 maja. Nie byłoby to absolutnie interesujące, byłoby to nawet normalne, gdyby te spóźnione reflekcje nie zbiegły się ze Zjazdem Literatów i nie nabrały przez to nieco żywszych rumieńców.

Istnieje w sprawozdaniach, wrażeniach czy uwagach pozjazdowych zwyczaj pewnego sumowania, uogólniania i wyciągania wniosków z referatów i poszczególnych dyskusji. Jest to zwyczaj bardzo chwalebny, stanowi on bowiem o naukowości i sensie takich artykułów. Pod tym względem artykuł p. Adama Szczepkowskiego jest rzeczywiście nowatorski. Wnioski są zbędne, uogólnienia zbędne, sumowanie — niepotrzebne! Metoda p. Szczepkowskiego polega na cytowaniu z pamięci obszernych ustępów przemówień prof. Górskiego prof. Krzyżanowskiego, prof. Kleinera bez obszerniejszych komentarzy. To, że wywody prof. Górskiego czy innych były w dyskusji w dziesiątkach chyba wypowiedzi poddane gruntownej i dowodnej krytyce nie obchodzi nikogo. Jako reprezentatywne natomiast uważa się np. wywody prof. Krzyżanowskiego: „Twierdziłem zawsze, że metodę marksistowską należy stosować przynajmniej na jakieś 70 proc. w naszych badaniach naukowych" — które wywołały na sali ogólną wesołość (nie tylko wśród marksistów!), dowodząc istnienia absolutnego bigosu metodologicznego i beznaukowego eklektyzmu w głowach wielu powag profesorskich. Tak samo z wyrozumiałym uśmiechem przyjąć musi *każdy* czytelnik twierdzenie autora, iż wstęp prof. Krzyżanowskiego do „Jermoły" Kraszewskiego jest pracą *marksistowską!* (!!) lub zdanie prof. Krzyżanowskiego iż nie ma podziału w polonistyce, któremu zaprzeczyła sama dyskusja i przebieg zjazdu.

Ilość takich cytowanych fałszywych twierdzeń, nad którymi p. Szczepkowski rozpływa się z zachwytu, możnaby mnożyć jeszcze b. długo. Ale nie to jest tutaj najważniejsze. Chodzi o uczciwość naukową, o metodę w pisaniu takich sprawozdań czy uwag pozjazdowych. Jasne jest, że p. Szczepkowski, ani nikt z redakcji „Tyg. Powszechnego" nie mógł zdobyć się na rzeczywisty naukowy bilans Zjazdu Polonistów, bo bilans taki musiałby niechybnie wykazać zupełną porażkę idealistycznych teorii lansowanych za pomocą cytowanych przez pana Szczepkowskiego wypowiedzi. Bezkrytyczne cytowanie fragmentów wypowiedzi profesorskich powag nie zastąpi omówienia zjazdu w jego właściwym obrazie i obliczone jest tylko na sianie zamętu w głowach nie umiejących krytycznie myśleć. I jeśli p. Szczepkowski nie zajmuje się szerzej wywodami marksistów, bo „publicyści marksistowscy zrobili to już tak gruntownie, że nam pozostało tylko uzupełnienie obrazu od strony przeciwnej"—to całe szczęście. Publicyści marksistowscy bowiem, rzeczywiście omówili zjazd gruntownie (powołam się choćby na artykuł Markiewicza w „Nowej Kulturze" i prof. Wyki w „Twórczości") w interpretacji zaś „naukowej" p. Szczepkowskiego, wypowiedzi marksistów mogłyby zostać zredukowane do trzech dwudziesto — wierszowych cytatów z Kotta lub Wyki.

Zresztą, proszę „Tyg. powszechnego", bądźmy szczerzy! Czy pan, Szczepkowski, wierzy sam istotnie, że jego spóźnione refleksje, wnoszą coś nowego, jeśli chodzi o pozjazdowe uwagi? Bo my nie wierzymy. Sądzimy natomiast, że miały być one antymarksistowskim dekalogiem, sprzeparowanym do szerszego użytku przed Zjazdem Literatów. Dekalogi mają to do siebie, że się szybko starzeją. Ten był grubo przestarzały już w czasie Zjazdu Polonistów.

A teraz?... truchło!

Wit.

XXV ZGROMADZENIE P. T. L.

*Komuś nie wtajemniczonemu w zagadnienia etnograficzne, a ktoby się pilnie przysłuchiwał obradom XXV Zjazdu Pol. Tow. Ludoznawczego *), mogło by się wydawać, że „opracowanie atlasu tańców ludowych", któremu poświęcono wiele czasu i uwagi jest równie ważne, a może i ważniejsze od „związania etnografii z życiem i potrzebami Polski Ludowej W OPARCIU O METODOLOGIĘ MARKSISTOWSKO - LENINOWSKĄ", a co, biorąc pod uwagę znaczenie tego postulatu, dyskusja właściwie pominęła. Tym samym problem postawiono na głowie, bo opracowanie podręczników, atlasów itp. zależy właśnie od pierwszoplanowej sprawy METODY, którą będziemy się posługiwać przy tych wszystkich pracach i wokół tego przede wszystkim problemu winna toczyć się była dyskusja, a problem ten zbagatelizowano, do czego upoważniał programowy referat.*

Podawał on do wiadomości, że w Związku Radzieckim ani jedno zagadnienie etnograficzne nie jest postawione i skończone, wobec czego nie mamy się na kim oprzeć, zostaliśmy sami na placu boju i sami musimy walczyć o nową metodę... my, tj. Towarzystwo Ludoznawcze.

Tymczasem rzeczy mają się tak, że po 1) w oparciu etnografii polskiej o metodę materializmu dialektycznego stawiamy pierwsze kroki, natomiast etnografia radziecka ma tutaj za sobą doświadczenia, z których możemy korzystać. Etnografia polska nie jest osamotniona, etnografowie radzieccy chcą nam pomóc, czemu dają wyraz na łamach „Etnografii Sowieckiej": „Książki polskie... wykazują przerażające wpływy zachodniej szkoły funkcjonalnej... trzeba pomóc uczonym polskim w przezwyciężeniu tej metody".

Po 2) Towarzystwo Ludoznawcze, które do tej pory dzierżyło całość zagadnień, związanych z etnografią, jest postawione wobec opracowanego przez Min. Nauki projektu akademickich studiów z zakresu HISTORII KULTURY MATERIALNEJ. Towarzystwu pozostaje wzmóc pracę w zakresie badań folklorowych.

Na Zjeździe mieliśmy przykład badań z tego zakresu. Oto jakie są wyniki badań muzykologicznych na obszarze woj. poznańskiego i Ziemi Lubuskiej. Zapisano wiele pieśni ludowych, przez co uzyskujemy materiał porównawczy dla analiz muzykologicznych, zarejestrowano instrumenty i tańce ludowe, jakie obecnie spotykamy na tamtych terenach. Nikt nie kwestionuje zasług tej rejestratorskiej pracy, ale zdumiewa brak szerszej i właściwej interpretacji zjawisk folkloru.

Cóż z tego, że stwierdzono, że istnieją pieśni ludowe, oparte na skalach dawniejszych — archaicznych i późniejszych — dur i moll? To nic nie mówi o procesie rozwoju pieśni, gorzej, sugeruje jakąś niezmienność, statyczność pieśni ludowej, która jak w XVI w. oparła się na systemie dur-moll tak do dziś dnia przetrwała. A związek melodii z tekstem? Pieśń to twór nie tylko muzyczny.

W artykułach J. i M. Sobieskich o pieśni ludowej, jakie ukazywały się w „Poradniku Muzycznym", spotykamy się z taką charakterystyką tekstu pieśni ludowej: „świadoma zmiana tekstu polega na przenoszeniu akcji, miejscowości czy osób pojawiających się w tekście do znanych i bliższych sobie warunków". Tylko tyle? Uaktualnienie pieśni ludowej odbywa się tylko w płaszczyźnie poziomej, przestrzennej, a w płaszczyźnie czasowej, a więc treściowych przemian — nie?

Monika Wieczyńska

*) W Poznaniu w dn. 15—17 czerwca b. r.

LISTY ZE WSI

Owiesek i gotówka

Mieszkam na wsi skalnego Podhala, pracując na gospodarce, czytam gazetę (a czasem też i książkę) oraz listy od przyjaciół 3—4 w roku, na które również odpowiadam w tej samej ilości.

„Wieś", to także mój przyjaciel, bez którego trudno mi się obejść — „Wieś" to list, który co tydzień przynosi najrozmaitsze „meldunki z pola walki": kulturalnej, gospodarczej i społeczno-literackiej, jakie i mnie interesują. Obecnie, skoro wołacie o listy ze wsi — do „Wsi", to i ja chcę w tym wziąć udział.

U nas są wsie w górze, ale są też i w dziurze. Tu i tam są jednak pod względem wytwarzania produktów żywności — same dla siebie niewystarczające. Nieświadomi rzeczy, sądząc nas z ubogiej gleby — mniemają, że tutaj panuje wieczna nędza. Przyjezdni obywatele, wczasowicze z ośrodków przemysłowych i rolniczych bogatych w urodzaje, widząc nasz owiesek ze zdziwieniem pytają: — Ludzie kochani, powiedzcie, czym wy tutaj żyjecie? Nie widać u was ani pszenicy, ani nawet żyta? — Nie widać, a jednak jadamy nawet biały chleb, nie jak dawniej; owsiane placki. — Skąd to macie? — A skąd wyście się wzięli tutaj obywatele? — Jak to skąd? — przyjeżdżamy! Tak też i mąka do nas przyjeżdża jak i wczasowicze — czym więcej wczasowiczów, tym więcej mąki i innych artykułów spożywczych, co należy zawdzięczać planowej gospodarce zaopatrzenia. Rząd pamięta także i o nas, — i o was, którzy tu przyjeżdżacie po zdrowie. — No dobrze, ale skąd biorą się u was pieniądze na kupno tego wszystkiego, skoro nie widać tutaj żadnych fabryk, ani innych źródeł dających możliwości zarobku? — To, że fabryk nie widać, to prawda, bo tych tutaj nie ma, ale jeżeli chodzi o źródła, dające możliwości zdobycia grosza, to te są — ot, krówki, które doją, a spółdzielcze zlewnie mleka, których w naszej wsi jest dwie, co miesiąc gosposiom za odstawione mleko wypłacają pokaźne sumy złotych, płacąc 40 za litr. Za nabiał wy, wczasowicze, zostawicie u nas trochę grosza. Drugą, dobrze opłacalną gałęzią gospodarstwa, to akcja „H", która daje nam pewny i możliwy dochód, a społeczeństwu produkt mięsny i tłuszcze. Trzeba przyznać, że w tej dziedzinie — chłopi właśnie tu, na Podhalu, osiągnęli nie lada sukces — podnosząc produkcję żywca o 100 proc. w stosunku do lipca 1949 r. Według moich własnych obliczeń i zapisków, które notuję jako honorowy korespondent G. U. Statystycznego okazuje się: w lipcu 1949 r. 6 gospodarstw (typowych) 3-hektarowych, które wzięto pod obserwację — hodowało w tym czasie, razem 10 szt. świń. W styczniu 1950 r. te same gospodarstwa posiadały 13 szt. świń, a w dniu 6 maja br. było ich 20. W skład tej liczby wchodziły: 2 maciory, 6 prosiaków 2-miesięcznych, warchlaków od 2—10 mies. i 4 tuczniki 10-miesięczne. Skutkiem podwojenia się liczby ogonków w chlewach rynek mięsny na terenie powiatu nowotarskiego jest całkowicie zaopatrzony. Chłopi zaś przez odstawienie swoich tuczników Centrali Mięsnej — zostali zaopatrzeni w gotówkę, która starcza nie tylko na mąkę, ale także na zaspokojenie innych potrzeb gospodarskich i osobistych. Niewątpliwie, są to doniosłe osiągnięcia na „polu walki" o powiększenie produkcji mięsnej, z czego są zadowoleni tak chłopi-producenci, jak też robotnicy-konsumenci. Poza tym „fabrykami", dającymi gospodarstwom wspomniane zarobki są i inne, a mianowicie szeroko rozwinął się przemysł chałupniczy: rzeźbiarstwo, pantoflarstwo i kapcarstwo. Te dwa ostatnie rodzaje chałupnictwa są zrzeszone w Gm. Spółdzielni Pracy, która na szeroko zakrojoną skalę wytwarza przez swoich członków kapce-zakopianki, pantofle, a ostatnio i kierpce góralskie.

Wszyscy inni małorolni i bezrolni — bezfachowi, mają rozległe możliwości zarobków, a to: przy robotach regulacyjnych potoków górskich, budowie drogi państwowej i domów użyteczności publicznej, które to prace dokonywują się na terenie gmin powiatu nowotarskiego, a w największym nasileniu w Poroninie. Ale o tym, jak i o „Spółdzielni Praca" napiszę osobno w drugim liście.

Andrzej Skupień-Florek

Biały Dunajec, 16.VI.1950 r.

Świetlica specjalistów?

Z naszą świetlicą jest tak. W domu Musioła po prawej mieszka on, po lewej izba świetlicy. Cztery stoły, krzesła i szafka z książkami. Na ścianie od ulicy tabliczka „Świetlica". W niedzielne popołudnia przed Musiołową chałupą siadają chłopi, na płocie, w trawie, na progu, na wyniesionych krzesłach. Tu odchodzą kawały i plotki „wcibskich" bab.

W świetlicy jest kilka osób: Jackiewicz Franek, Małecki Antek i Warda Władek. Są to młodzi gospodarze, po 28 — 35 lat. Ze starszych nikogo. Dalej bibliotekarka, Zosia Kurylakowa, Janek Kaleta 18-letni zetempowiec i Władek Stasiak. Każdy z nich siedzi oddzielnie i w ciszy coś studiuje.

Jackiewicz, jak się to mówi teraz, jest racjonalizatorem. W ślad za Mazurem, o którym z gazet zeszłego roku wyczytał, pracuje nad zwiększeniem wydajności produkcji buraków. W tym celu chytrzy za materiałami w gazetach, piszących o uprawie buraka. Warda współzawodniczy z Jackiewiczem w uprawie buraka. Który znajdzie jakiś szczegół odnoszący się do ich miczurinowskich zainteresowań zaraz wspólnie studiują i dyskutują. Małecki w prasie goni za czym innym. Jego zainteresowanie to krowy i drób gospodarski. Przegląda prasę z ubiegłego tygodnia i wybiera do czytania materiały o hodowli bydła i drobiu. A co robi Kaleta? Kręci się koło szafy i Zosi. Jest koniec roku szkolnego. Przyjechał na niedzielę z Mławy, szuka „Cichego Donu". Nie ma. „Stare i Nowe"? Też nie ma. Jeszcze wciąż nie dotarło do Borowy wiele pięknych książek. W bibliotece tej można natomiast znaleźć książki obce nam ideologicznie i moralnie. Wszystkie śmieci o zawodach miłosnych, o tragediach itp. Można znaleźć zupełnie antyradzieckie, piłsudczykowsko-legionowo nastawione. Książki tchnące nacjonalizmem i rasizmem. Cóż nam po takich śmieciach? Dlaczego tak jest do tej pory? Jeszcze nie ma na naszej wsi dostatecznego wyrobienia politycznego. Jeżeli biedniak, czy średniak może widzieć wroga w bogaczu, w spekulancie, w kapitaliście itp., o tyle w książce pochodzenia sanacyjnego nie widzi nic złego, co by godziło w jego interes. I ten jad dalej żeruje na wsi. Tą sprawą winno się zająć postępowe nauczycielstwo. Mówię postępowe, bo są ludzie jeszcze wśród nauczycielstwa żyjący starymi nawykami. Powinny się tym zająć organizacje społeczne, w szczególności ZMP. W chwili obecnej zmienia się władza terenowa. Władza przechodzi w ręce Rad Narodowych. Rady Narodowe winny udzielić świetlicom i bibliotekom nie tylko pomocy fachowej i politycznej, ale również materialnej. Bez pomocy materialnej mimo chęci nie bardzo uda nam się postawić pracę świetlic na należytym poziomie. Konieczna jest tu pomoc odgórna, by praca świetlic i bibliotek nie rozwijała się tylko żywiołowo. Ludzie, którzy zachodzą do świetlicy i biblioteki w Borowy to przeważnie ci, którzy byli na różnego typu kursach w szkołach itp. Np. Jackiewicz dłuższy czas pracował w PRW jako instruktor i ukończył dwa kursy w tym kierunku, Małecki skończył roczną szkołę rolniczą. Warda również pracował 2,5 roku w „SP", Kaleta uczeń i Władek Stasiak wyrobienie i przywiązanie do pracy świetlicowej zdobyli także w „SP". Poza nimi możnaby wyliczyć jeszcze 15 — 20 osób, które zachodzą i korzystają z biblioteki i świetlicy. Ten stan należy koniecznie zmienić, by na 380 mieszkańców ze świetlicy korzystała przynajmniej 1/4-ta. Wtedy świetlica stanie się ośrodkiem rozrywki i wychowania ideologiczno-politycznego, czego wymaga obecna sytuacja gospodarcza i polityczna naszej wsi, zmierzającej do budowy socjalizmu.

MARIAN NOWIŃSKI

Klęska gradowa ale nie społeczna!

Najstarsi ludzie w okolicy nie pamiętają takiej klęski gradowej, jaka nawiedziła nas w godzinach popołudniowych 24 maja br. Gdy burza przeszła, zaroiło się od ludzi. Wszystko co żyło wyszło oglądać zniszczenia. A były przerażające w swojej grozie. Zboża dosłownie przykryte gradem, białe jak w zimie. Chłopi, kobiety, dzieci łażą koło pól i rozpaczają. Czasem ktoś zaklnie, kobiety płaczą i lamentują: czym wyżywimy naszą rodzinę, skąd weźmiemy żyta, pszenicy i jęczmienia na obsiew pól? Całoroczny wysiłek, cała nadzieja rolnika przepadły. A takie mieliśmy śliczne, wspaniałe zapowiadające się zbiory. Czym wyżywimy nasz dobytek, nasze krówki, gdy koniczyna ścięta zupełnie? A czym to obsiejemy i co zrobimy z pustymi polami na jesieni? — Jużeśmy po żniwach i omłotach! Niestety zboża już się nie podźwignę, więc ludność wraca z pól do domów i tu jeszcze większy lament, płacz i smutek.

Grad lecąc z potężnym huraganem szerokim pasem zbił pola w gromadach: Byszyce, Łyczanka, Siepraw (wschodnią i środkową część tej dużej, liczącej około 800 nr wsi), Zakliczyn, Zawada, Borzęta, Brzączowice, Czechówka, Brzezowa, Gaik, częściowo w Gorzkowie, Stojowicach i Nowej Wsi.

W Zakliczynie leciał grad wagi 6—10 dkg, w innych wsiach większy, były i wielkie odłamki czy zlepki o wadze 1 kg (w Brzezowej). W Sieprawie wielkości orzecha laskowego. Mimo, że dnie były upalne, grad leżał w polach nie topniejąc miejscami trzy dni.

Na drugi dzień po gradobiciu utworzyły się komisje gromadzkie i zaczęto spisywać szkody, zaś instruktorzy rolni ruszyli do powiatu (do Myślenic) i do województwa (do Krakowa), aby donieść władzom o potwornej klęsce gradobicia.

W kilka dni potem przyszły zarządzenia do sołtysów, żeby chłopi zaorywali zbite gradem pola i siali len, wykę, proso, ziemniaki itp., przy czym Rząd wyznaczył na pierwszą pomoc dla poszkodowanych po pięć tysięcy krótkoterminowej pożyczki bezprocentowej zwrotnej w grudniu br. Ludzie jednak nie chcieli pożyczać, bo — mówią — skąd weźmiemy w grudniu pieniądze, żeby je zwrócić?

Poczęto natomiast prosić o zaliczki, czy wypłacenie całej sumy na jaką plony były ubezpieczone w Powszechnym Zakładzie Ubezpieczeń Wzajemnych, bo na szczęście były ubezpieczone, a składki od ubezpieczenia zapłacone. Rząd poszedł na rękę poszkodowanym, zjechała się komisja szkód PZUW i pracując niezmordowanie w terenie w ciągu tygodnia obliczono szkody najpierw w gr. Siepraw i wypłacono ludziom 75 proc. wartości ubezpieczonych plonów, a reszta ma być wypłacona w terminie późniejszym. W ub. tygodniu, tj. od 12 do 17 bm. komisja badała szkody w Zakliczynie w mojej wsi. Okazało się, że na 255 gospodarstw zaledwie 17 gospodarzy nie musi zaorywać gruntu ponownie, bo choć zboża są zbite, jednak częściowo kłosy stoją i jest w nich ziarno, więc szkoda tego kosić, bo zawsze choć ¼ część plonu można uzyskać, a każdemu chłopu chodzi przede wszystkim o to, by mieć ziarno do obsiewu jesiennego. Spodziewamy się i mamy nadzieję, że władze pomogą nam przez dostarczenie zboża siewnego na jesieni z innych części kraju, nie zniszczonych gradobiciem, ewentualnie z PGR.

Przydałoby się, aby zboże do siewu mogli chłopi nabyć przed 10 września.

Chodzi tu przede wszystkim o żyto, gdyż żyto grad zniszczył zupełnie, natomiast pszenica miejscami ocalała, zwłaszcza „Ostka". U mnie grad zmłócił 80-arowe pole żyta tak aokładnie, że po dwóch dniach zupełnie dojrzało. Musiałem więc skosić słomę, jaka pozostała i głowię się czym obsiać tak wielkie pole, żeby zebrać przed siewem jesiennym, bo pole mam nawożone obornikiem, więc wypada mi siać drugi raz żyto dając nawóz sztuczny. Pole to jest w Sieprawiu. Przy domu, w Zakliczynie, mam drugie pole 30 ar. żyta, które mniej ucierpiało od gradu, bo 25 proc. kłosów podźwigło się i narasta ziarnem. Takiego żyta żal kosić. Pszenicę mam obok tego pola i dziwna rzecz, ta dużo mniej ucierpiała, może w 30 proc., reszta rośnie i całą nadzieję pokładamy w tym polku, może dotrwa szczęśliwie do zbiorów.

Szkody, jakie spowodował grad w naszej gminie Siepraw, ocenia komisja na 95.000.000 zł.

Mnie, jak już zaznaczyłem wyżej, grad zniszczył żyto na przestrzeni 1 ha 10 ar. Obliczenie wypadało tak: 18 q z ha + 180 kg z 10 ar = 19.80 q żyta szkody w słomie 40 proc. W gotówce wyniosłoby ze zboża 41.580 zł (słoma nie wiem jak jest obliczona). Z tego 75 proc. zaliczki, wynosi 31.185 zł.

Tak to dla rolnika jedna chwila jest decydująca, czy trud i praca jego da mu plon stokrotny i dostatek chleba jemu, rodzinie i całemu narodowi, czy też postawi go przed widmem głodu.

Ale jedno wiem, że w Polsce Ludowej chłopi nie będą ginąć z głodu, bo Rząd i władze miejscowe organizują pomoc dla dotkniętych klęską gradu gospodarzy i już spółdzielnia Samopomocy Chłopskiej otrzymuje duże ilości mąki, uważam więc, że i zboże do siewu sprowadzone będzie dla nas na czasie, a na zimę jak i na przyszły rok jakoś zdołamy zabezpieczyć się z pomocą Państwa. Dziś chłopi kupują mąkę na chleb, ci, którzy już nic nie mają, niektórzy żyją jeszcze własnymi zapasami, potem będą nowe ziemniaki i miejscami trochę pszenicy, więc jakoś będzie się żyć... Wielką pomocą są zaliczki, które PZUW wypłaca poszkodowanym, tak że przetrwamy ten bądź co bądź ciężki czas.

J. FIREK

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redaguje Komitet.

Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12 Adres Redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza Nr 7.
Tel. Red. Nacz. 727-86 Tel. Redakcji 751-80 do 89, wewnętrzny 23 i 97
Wyd.: SPOŁDZIELNIA WYDAWN. - OSW. „CZYTELNIK"
REDAKCJA NIE ZAMOWIONYCH RĘKOPISOW NIE ZWRACA.
Adres Prenumeraty i Ogłoszeń — Warszawa — Plac Trzech Krzyży 16

Warunki prenumeraty:
miesięcznie 80,— zł; kwartalnie 240,— zł; półrocznie 480,— zł; rocznie 960,— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa VII—1080/110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wieś".

Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd.-Ośw. „Czytelnik". Marszałkowska 3/5
B-111540